tygodnik społeczno-kulturalny
Łódź
odgłosy
NR 8 (1211) ROK XXIV 22 LUTEGO 1981 R. CENA 3 ZŁ

O STRAJKU STUDENTÓW

— czytaj str. 6—7

chłopskie związki

RYSZARD BINKOWSKI

W sytuacji, jaka się wytworzyła w ruchu związkowym na wsi, jest coś niezdrowego, wzbudzającego niepokój. Można by stwierdzić, że właściwie nie wiadomo o co się tam toczą spory i kto z kim walczy. Wedle opinii władz, próby zakładania „Solidarności Wiejskiej" są działalnością nielegalną. Organizacja ta nie została zarejestrowana przez Sąd Najwyższy w dniu 10 lutego i nie uzyskała osobowości prawnej. Ale powoływane w gminach tzw. Gminne Związki Kółek i Organizacji Rolniczych w odczuciu rolników także nie są organizacjami usankcjonowanymi prawnie, albowiem w Sejmie przygotowuje się dopiero ustawę o samorządzie wiejskim.

A jednak rywalizacja istnieje, i to dość ostra. Mówią o tym nawet dane statystyczne. Oto mamy informację, że w ub.r. na terenie np. woj. piotrkowskiego działały 944 kółka rolnicze. W grudniu rozpoczęła się kampania sprawozdawczo-wyborcza. Do połowy stycznia br. odbyło się 911 zebrań, na których przedstawiono zmiany w statucie, zaproponowane przez Centralny Związek Kółek Rolniczych. 41 kółek nie przyjęło zmian statutowych.

W 38 kółkach nie podjęto uchwały o przystąpieniu do Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych.

W pięciu gminach 12 kółek chłopskich wystąpiło ze Spółdzielni Kółek Rolniczych. Żądają one zwrotu swoich wkładów, ciągników i zestawów maszyn, ponieważ zamierzają prowadzić działalność gospodarczą na własny rachunek.

W sprawozdaniu nie mówi się, czy wszyscy członkowie pozostałych kółek zdecydowali się sfederować na szczeblu gminnym. Życie mówi, że nie wszyscy. Chłopi są nieufni, zajmują postawę wyczekującą. Dlaczego? Przecież wszystko zapowiadało się dość dobrze. Przecież pierwsze odżyły silne, autonomiczne związki plantatorów i hodowców zwierząt. Kiedyś liczyły się z nimi i przemysł spożywczy i administracja państwowa. Później związki te wkręcono w tryby machiny urzędniczej WZKR, a przemysł przetwórczy zerwał z nimi wszelką więź, uznając, że ze wsi można tylko brać, nic w zamian nie dając. Z chwilą nadejścia odnowy organizacje te wyzwoliły się spod kurateli WZKR, aby ponownie stać się autonomicznymi związkami producentów rolnych.

I wszystko byłoby w jak najlepszym porządku, gdyby nie pewne „ale". Otóż już w czasie odnowy władze centralne, a jeszcze bardziej lokalne władze terenowe, popełniły kilka poważnych błędów. Wiadomo np., że ludność wiejska jest najbardziej wierzącą częścią społeczeństwa. Chce budować własnymi siłami i za własne pieniądze kościoły. W okolicach Krajowic w woj. krośnieńskim chłopi budowali kościół albo nocami, albo w dzień, osłaniani przez kobiety, których przedstawicielom władzy nie wypadało usuwać siłą. Z takich m.in. przyczyn pojawiły się ogniska zapalne na Podkarpaciu.

W ub. roku klęski żywiołowe wyrządziły wiele szkód na chłopskich polach. Przy ocenie strat rolnicy bywali haniebnie oszukiwani przez nieuczciwych likwidatorów. To także wzniecało niezadowolenie.

Odnowa wkroczyła do miast, a na wsi niewiele się zmieniło. Środki pro-

(Dalszy ciąg na str. 4)

Foto: R. Łucyszyn

WITOLD KASPERKIEWICZ

Polski model gospodarczy – prawda czy złudzenie?

„Proces socjalistycznej demokratyzacji, odwrót od biurokratyczno-centralistycznych metod rządzenia państwem i kierowania gospodarką narodową, wejście na drogę budowy socjalizmu w sposób odpowiadający historycznym warunkom oraz potrzebom narodu polskiego wymaga wypracowania jasnych koncepcji w dziedzinie polityki gospodarczej oraz konsekwentnego wprowadzania tych koncepcji w życie".

O. Lange „Budowa nowego modelu gospodarczego musi oprzeć się na dynamice kasy robotniczej i socjalistycznej inteligencji". — 1956 rok.

Przemiany społeczne zachodzące w naszym kraju stawiają z całą mocą na porządku dziennym problem polskiego modelu gospodarki socjalistycznej. Ostrze protestu i krytyki społecznej uderzyło w dotychczasowe biurokratyczno-centralistyczne i technokratyczne metody utrwalania socjalizmu w Polsce. Wydaje się, iż minął bezpowrotnie okres „choroby dziecięcej" budowy socjalizmu, skończyło się zastępowanie autentycznych sił społecznych przez wszechwładny aparat biurokratyczny... Bez cienia przesady można skonstatować, że po przełomie sierpniowym wykrystalizował się ogólny kierunek zmian prowadzący do ustanowienia w kraju zasad rzeczywistej, a nie fasadowej i ceremonialnej demokracji w życiu społecznym i gospodarczym. Jednocześnie powstało w naszym społeczeństwie silne zapotrzebowanie na filozofię konkretu, czyli rozwiązania instytucjonalno-prawne gwarantujące postęp społeczny kraju. Poczesne miejsce w systemie owych gwarancji zajmuje sprawa reformy gospodarczej.

(Dalszy ciąg na str. 3)

Kontynuujemy druk rozpoczętego w poprzednim numerze cyklu referatów wygłoszonych na konferencji naukowej, poświęconej reformie gospodarczej a zorganizowanej przez MKZ NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej oraz organizację „Solidarności" Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego w grudniu ub. roku.

Publikację prof. dr Jana Mujżela przygotowaliśmy do druku w oparciu o zapis magnetofonowy jego wystąpienia. Tytuł pochodzi od redakcji.

JAN MUJŻEL

między tym, co centralne a tym, co samodzielne

Proszę mi pozwolić na wstępną uwagę o stanie naszej myśli społecznej w związku z obecną sprawa reformy. Myślę, że niewątpliwy jest fakt znacznego opóźnienia w pracach koncepcyjnych, a zwłaszcza w pracach projektowych nad reformą. Nie chcę powiedzieć, że lata 70 zostały z tegu punktu widzenia zmarnowane. W szeregu ośrodków były prowadzone prace nad systemem polskim lat 80, jednak były to ośrodki nieliczne, rozproszone. W pracach przeważały akcenty teoretyczne, bardzo istotne, ale mogące stanowić jedynie punkt wyjścia dla bardziej rozwiniętych aplikacyjnych projektów.

Przyczyna główna opóźnień, słabości, które dziś o sobie dają znać w toku prób intensyfikowania prąc nad reformą, tkwiła głównie w klimacie społeczno-politycznym, jaki istniał w latach 70, a zwłaszcza w drugiej połowie lat 70 — w klimacie nie sprzyjającym, albo wręcz nieprzychylnym dla działań naukowych, szerszej wymiany poglądów, szerszej dyskusji.

Po wydarzeniach lipcowo-sierpniowych sytuacja uległa zmianie, nastąpiło ogromne przyśpieszenie i ogromny wzrost zainteresowania pracami nad reformą. Można powiedzieć, że dysponujemy już pewnym dorobkiem. Poza dyskusją toczącą się na łamach czasopism, składają się nań trzy dokumenty. Historycznie pierwszym są **tezy PTE w sprawie reformy gospodarczej** w Polsce, przygotowane przez liczny zespół, początkowo powołany dla opracowania diagnozy systemowej; następnie cele tego zespołu zostały szeroko rozwinięte — właśnie na koncepcyjne prace. Nie jest to w żadnym wypadku stanowisko oficjalne, jest to stanowisko pewnej grupy profesjonalnej w organizacji społecznej, ale sądzę, że dokument ten, zawarte w nim tezy i koncepcje, wywarły i będą wywierać pewien wpływ.

Drugi, historyczny dokument, to **założenia opracowane przez oficjalną Komisję Biura Politycznego i Prezydium Rządu.** Tezy tej komisji zostały opublikowane, stanowiąc zaproszenie do szerokiej społecznej dyskusji nad koncepcją reformy.

Trzecim wreszcie jest **dokument przygotowany przez zespół młodych ekonomistów, skupiających się głównie w SGPiS, pod redakcją dr Leszka Balcerowicza.** Jest to koncepcja alternatywna. Ten trzeci raport zawiera szereg myśli odmiennie podchodzących do merytorycznych i proceduralnych, scenariuszowych problemów przeprowadzenia reformy.

Chciałem teraz skupić się na tych tezach ogólnych, które uzyskały znaczne, jeżeli nie powszechne, to przynajmnie przeważające poparcie ze strony środowisk ekonomicznych i społecznych, zaangażowanych w sprawy reformy systemowej. Zanotowałem sobie cztery takie tezy.

Pierwsza, wyjściowa, powtarzająca się we wszystkich dokumentach i w dyskusjach na ten temat, zawiera twierdzenie, że **system tradycyjny, który mamy dziś, jest niezdolny do rozwiązywania stojących przed krajem problemów gospodarczych i społecznych.** Został on wprowadzony do naszej praktyki gospodarczej na przełomie lat 40 i 50 i właściwie od tego czasu, a ściślej od połowy lat 50, historia ewolucji systemu polskiego jest właściwie historią prób **wyprowadzania** gospodarki polskiej z systemu tradycyjnego.

W okresie tego ćwierćwiecza coraz bardziej zdecydowane, coraz bardziej wyraźne, staje się przekonanie coraz szerszych środowisk społecznych w Polsce, iż **systemu tradycyjny nie daje szansy rozwiązywania głównych naszych problemów i że staje się barierą w pomyślnym rozwoju kraju i zaspokajaniu społecznych potrzeb.** Logika jego działania musiała doprowadzić do narastających napięć i nierównowag w gospodarce, do wielkich deficytów w obrotach z gospodarką światową, do charakterystycznych zahamowań we wzroście konsumpcji obecnej i perspektywach wzrostu konsumpcji w latach przyszłych.

Co stanowi istotę systemu tradycyjnego? Jego wariantów mieliśmy w Polsce wiele. Ale istota jest zawsze ta sama. Zawsze jest to system nakazowo-rozdzielczy. Sprowadza się on do traktowania planu centralnego jako wszechogarniającego zbioru decyzji ekonomicznych, które mogą i powinny być podejmowane przez centralną administrację gospodarczą. Drugą cechą tego systemu, takiego właśnie traktowania planu centralnego jako omnipotencjalnego zbioru decyzji ekonomicznych, pozostaje przekonanie o tym, że w tym systemie ustrojowym najbardziej właściwą formą realizacji planu, realizacji decyzji w tym planie podjętych, są dyrektywy zadaniowe oraz rozdzielnictwo środków, kierowane, stosowane wobec wykonawców planu, wobec organizacji gospodarczych i mimo różnych formalnych modyfikacji, jakim ten system podlegał w toku swojej 30-letniej ewolucji w Polsce, istota jego pozostała nienaruszona.

(Dalszy ciąg na str. 4)

KRONIKA KULTURALNA

13 LUTEGO wystąpiła gościnnie w łódzkim Teatrze Wielkim solistka Teatru Wielkiego w Warszawie, Hanna Rumowska. Ostatnio artystka koncertowała na scenach i estradach Holandii, Francji, RFN, Austrii i ZSRR.

W Łodzi artystka śpiewała partię Aidy. Obok niej wystąpili: Izabela Kobus, Ewelina Kwaśniewska, Henryk Kłosiński, Zdzisław Krzywicki Stanisław Michoński, Eeugeniusz Nizioł i Jerzy Rynkiewicza. Przedstawienie prowadził Kazimierz Wiencek

WSZYSCY miłośnicy muzyki poważnej z niewątpliwym zainteresowaniem przyjmą do wiadomości informację, że w Łodzi wystąpią znani artyści francuscy — Joseph Sage i Raymond Coulsté. Przedstawią oni łódzkim melomanom program muzyki dawnej od średniowiecza, poprzez odrodzenie, romantyzm, aż do czasów nam bliższych. Są to kompozycje przeważnie anonimowe, pisane do tekstów znanych poetów poszczególnych epok

Dodatkową atrakcją koncertu będą instrumenty na których grać będą artyści. Są to zupełnie unikatowe i już dziś prawie zupełnie nie używane egzemplarze, które same są już ogromną ciekawostką.

„ZRODZIŁAŚ SIĘ z pieśni" — to tytuł montażu słowno-muzycznego, przygotowanego przez Teatr „Poniedziałek"

Teatr działa już od 1976 roku przy Bałuckim Klubie Nauczyciela i ma na swoim koncie wiele interesujących przedstawień.

Najnowszy montaż, w reżyserii i oprawie scenicznej Euzebiusza Olszewskiego, to piosenki z filmu „Zakazane piosenki", połączone z poezją walczącej Warszawy

ŁÓDZKI PISARZ Henryk Hartenberg odznaczony został przez ZBoWiD Krzyżem Komandorskim. Gratulujemy!

W SALONIE wystawienniczym przy ul Piotrkowskiej 86 otwarta została Giełda Wzorów Przemysłowych Organizatorami imprezy są: sekcja Wzornictwa Przemysłowego Okręgu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków i Zakłady Artystyczne „Art". Na ekspozycji prezentowanych jest 210 wzorów 21 artystów plastyków, projektantów przemysłowych.

W OŚRODKU PROPAGANDY SZTUKI w parku im H. Sienkiewicza otwarto przed kilkoma dniami ogólnopolską wystawę pt. „Rysunek i obraz". W wystawie udział bierze wielu znanych plastyków z całego kraju

W GALERII BAŁUCKIEJ otwarto interesującą wystawę pt „Fotografia jako medium". Autorami prezentowanych prac jest dwunastu młodych fotografików brytyjskich.

W GALERII BWA (Wólczańska 31/33) można obejrzeć wystawę grafiki Albina Brunovsky'ego

W KLUBIE DZIENNIKARZA czynna jest wystawa fotograficzna Mirosława Zajdlera, fotoreportera „Głosu Robotniczego" Autor prezentuje zdjęcia wykonane w Karlinie, podczas erupcji ropy naftowej.

ŁÓDZKIE MUZEUM ARCHEOLOGICZNE i Etnograficzne, posiadające dział widowisk lalkowych przygotowało wystawę pt. „Ludowe i współczesne lalki widowiskowe w Polsce". Wystawa została przygotowana na zaproszenie Państwowego Muzeum Etnografii Narodów ZSRR w Leningradzie i będzie tam eksponowana od 17 lutego do 20 marca.

W SPRZEDAŻY ukazał się pierwszy numer nowego katolickiego dwutygodnika społecznego Pismo nosi tytuł „Ład" jego wydawcą jest Ośrodek Dokumentacji Studiów Społecznych, redaktorem naczelnym został Janusz Zabłocki.

RADA STOWARZYSZEŃ i Związków Twórczych w Łodzi uprzejmie zaprasza wszystkich zainteresowanych na rozmowę o sytuacji książki i pisarza w Łodzi. Rozmowa odbędzie się w dniu 24.II. o godz 16.30 w Muzeum Historii Miasta Łodzi.

SIERPNIOWE NAUKI

1.

Robiąc niedawno wycinki tego, co pisałem od Sierpnia, uświadomiłem sobie nagle, ile od tego czasu przeżyłem, ile się nauczyłem. Najpierw chyba był lęk, wynikający z niemożności rozpoznania tego co jest, a więc i tego, co nastąpi. Powoli jednak, wraz z napływem szczątkowych początkowo, później coraz szerszych wiadomości o tym, co naprawdę dzieje się na Wybrzeżu, lęk zaczął ustępować. Pojawiła się nadzieja. W tym właśnie momencie usiadłem do maszyny. 25 sierpnia: *Niektórzy nasi reprezentanci zapomnieli, że są przez nas wybierani, że winni służyć społeczeństwu, a nie sobie, że władza jest w swej istocie społeczną służbą.* Później, po podpisaniu porozumień, naiwna ulga. 1 września o dacie 31 sierpnia: *Zapamiętajmy ją jako datę graniczną, mówiącą o dniu, w którym przełamany został kryzys zaufania w układzie społeczeństwo władza, a więc — kryzys polityczny".* Wkrótce jednak przyszło zniecierpliwienie. W połowie września o prasie (i nie tylko o prasie): *Temu i owemu dawno się zepsuł rozrusznik, no cóż, bywa, zdarza się w trudnych warunkach terenowych; gorzej gdy całe życie jeździł „na pych", więc teraz, kiedy nie ma go kto popchnąć, nie jedzie. Co najwyżej trąbi.* Tydzień później: *Dziś, teraz, jest to już nonsens spiętrzony, fałsz świadomy, opór do kwadratu. Teraz przecież żaden już działacz, polityk, nie może powiedzieć, że nie zdaje sobie sprawy...*

Z niejakim smutnym rozrzewnieniem patrzę na tę moją niecierpliwość, na tę moją historię przyśpieszonego, a twardego kursu rzeczywistości. Pierwsze dni października: *Nie da się zaprzeczyć, że tu i ówdzie, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, ale przecież nie tylko w mniejszych, a także — w niektórych zakładach pracy — duch porozumień nie jest odczuwany zgodnie z intencją parafujących te porozumienia, a litera porozumień także nie jest odczytywana literalnie:* W połowie miesiąca: *Powoli, powoli, zdają się przeważać racje prezentujące rozsądek i trzeźwą ocenę sytuacji. Trwa to jednak długo, w wielu zakładach zbyt długo. I zbyt drogo nas już kosztuje ta „operacja wiatr"* (chodziło o „wiatr od morza"), *aby nie wywołać zniecierpliwienia społecznego.*

Każdy z nas przypomina sobie, co w tym czasie przeżywał i co przeżywa, swoje myśli i swoje działania, zastanawia się nad tym, czego się nauczył, wybaczony więc mi chyba będzie ten osobisty ton. Czego ja się nauczyłem? Przede wszystkim chyba sceptycyzmu. Niewiary w słowa, jeśli nie idą za nimi fakty. Przedkładania gwarancji ponad wiarę. Podejrzliwości wobec charyzmatów

Myślę, że nie ja jeden.

2.

Sierpień, najdłuższy z naszych miesięcy, ciągle trwa. Po drodze parę fal strajków, kilka zmian personalnych na najwyższych szczeblach, kilka ważnych, nie załatwionych spraw.

Miotamy się w tym miesiącu od rozpaczy po nadzieję, w nieustannym stressie. Teraz jakby fala uspokojenia, przyniesiona przez obrady VIII Plenum KC PZPR, które odsłoniły niejedną brutalną, ale i trzeźwiącą prawdę oraz przez sesję sejmową, która przyniosła zmiany na stanowisku premiera i inne zmiany w rządzie

Premier Wojciech Jaruzelski objął urząd premiera w okresie bodajże najtrudniejszym w naszej powojennej historii. Pogłębia się kryzys gospodarczy, w dalszym ciągu nieustabilizowana jest sytuacja polityczna, do odrobienia pozostało wiele zaniedbanych kwestii wynikających z umowy społecznej. Trudno więc byłoby gratulować mu objęcia tej funkcji; raczej już po ludzki współczuć i spróbować dzielić z nim i całą ekipą rządową syzyfowe bezmała trudy. Nigdy chyba bowiem jeszcze sytuacja tak wprost nie zmuszała współobywateli premiera do współrządzenia, do przyjęcia współodpowiedzialności.

Spora część społeczeństwa zrozumiała, jak się zdaje, tę sytuację, te nadzwyczajne okoliczności, które jej towarzyszą. Apel o dziewięćdziesięciodniowe moratorium spotkał się z nie bezwarunkowym wprawdzie, ale jednak — poparciem związków zawodowych, w tym i „Solidarności", wielu grup zawodowych i załóg zakładów pracy.

Przekonuje logiczny i rzeczowy 10-punktowy program bieżących zadań rządu, zawarty w oświadczeniu premiera Jaruzelskiego, warto jednak zwrócić uwagę na to, że każdy z tych punktów odnosi się w równej mierze do rządu, co i do społeczeństwa.

Czy wszyscy są o tym przekonani? Nie sądzę. Mimo bowiem deklarowania ciągot do samorządności, do demokracji, ciągle jeszcze faktycznie tkwi w niejednym z nas, kształtowana przez politykę całych dziesięcioleci, zasada podziału na „my" i „oni". Kształtowali ją „oni", ale obalić ją musimy „my". Z „naszej" strony zasada ta wygląda tak: „oni" rządzą i ponoszą odpowiedzialność, „my" wykonujemy i ewentualnie bywamy niezadowoleni. Z tejże zasady wynika potrzeba przywódczego charyzmatu. I oto podnoszą się głosy, nieliczne jeszcze, sławiące osobiste walory generała-premiera, jego zdolności dowódcze, jego autorytet w armii. Wzdrygam się osobiście przed takimi opiniami, nie dlatego, iżbym w nie nie wierzył (nie mam żadnych danych ku temu ,aby się na te tematy wypowiadać), lecz dlatego, że wietrzę w nich znane nam z niedawnej historii niebezpieczeństwa. Po czynach generała — sądźmy generała, ale premiera — sądźmy po czynach premiera (notabene, jak na razie, premier-generał wydaje mi się być jednym z najbardziej „cywilnych" naszych premierów, co można sądzić choćby po stylu, w jakim została przeprowadzona jego konferencja prasowa). W kreowaniu przywódcy mieści się u kreujących, z czego warto sobie zdać sprawę, ukryta chęć zepchnięcia na niego odpowiedzialności za wszystko, co nastąpi. Tymczasem z tym, co mamy teraz w kraju, sam premier, choćby miał największą głowę, nie poradzi sobie. Musimy mu, i sobie, pomóc swoimi głowami.

3.

Wyrażał premier Jaruzelski podczas konferencji prasowej chęć dyskursu ze społeczeństwem, a w tym i z prasą, pozwolę więc sobie skorzystać z tej zachęty.

Oto podczas tejże konferencji podniesiona została kwestia niebezpieczeństwa, jakie pośrednio i czasowo może wywołać realizacja reformy gospodarczej — a mianowicie częściowego bezrobocia. Opinia taka wyraża na jest przez wielu ekonomistów, w tym i przez współautorów projektów reformy. Przedstawiciele rządu odcięli się od takiej możliwości, twierdząc, iż sprawę załatwi się przeniesieniem pracowników do deficytowych, jeśli chodzi o zatrudnienie, gałęzi gospodarki narodowej (m. in. rolnictwo, usługi) oraz innymi posunięciami. Przypomniano także podstawową zasadę socjalizmu, mówiącą o prawie do pracy, wykluczającą bezrobocie.

Wydaje mi się, że całego problemu przenosinami tymi nie załatwimy. Myślę, że w ogóle sprawę trzeba postawić inaczej, sprowadzając ją na grunt polityki społecznej. Obecny stan nad-zatrudnienia w wielu gałęziach przemysłu i w administracji, przeczący racjonalnej organizacji i wręcz wymuszający niską wydajność, niewiele ma wspólnego z chęcią korzystania z prawa do pracy: jest wywołany przymusem ekonomicznym i kształtowaną przez lata presją społeczną, (kto nie pracuje, czytaj — kto nie jest gdzieś zatrudniony — niewiele jest wart). Sprawa dotyczy zwłaszcza kobiet, które bardzo często m u s z ą, czy chcą tego, czy nie dokładać się do budżetu rodzinnego. Sądzę, że można nie tylko wyobrazić sobie, ale i zrealizować sytuację, w której głowa rodziny zarabia wystarczająco wiele, tak, aby żona mogła wybierać między pracą zawodową, a nie mniej szlachetną domową. Socjalizm by na tym nie stracił. Warunek, oczywiście — organizacja, dyscyplina i wydajność pracy. Zyski społeczne niepomiernie wysokie, wziąwszy pod uwagę choćby tylko ład rodzinny, wychowanie dzieci, wreszcie zdrowie kobiet zmuszanych, czy chcą tego, czy nie, do pracy na dwu etatach.

Przepraszam za sceptycyzm w stosunku do poglądów wyrażanych przez przedstawicieli rządu, ale tego się właśnie od Sierpnia nauczyłem. Mam nadzieję — bez szkody dla rządu.

JERZY KATARASIŃSKI

TYDZIEŃ W POLITYCE

Programowe oświadczenie premiera Wojciecha Jaruzelskiego w Sejmie, przyjęto z ogromnym zainteresowaniem i nadzieją w kraju, **wywołało również szerokie echa poza granicami.** Zainteresowanie Polską na kontynencie europejskim i w Stanach Zjednoczonych przybierało znowu charakter zaniepokojenia. Rodziły się obawy co do możliwości rychłej stabilizacji sytuacji, ponieważ kraj ogarnęła nowa fala napięć. Obserwowano je z uwagą, coraz częściej w komentarzach pojawiało się słowo: nieodpowiedzialność. W wielu nieżyczliwych Polsce czasopismach i dziennikach opublikowano rysunki satyryczne, których tematem było stwierdzenie: Polacy nie chcą pracować. Przykry to i ośmieszający nas w oczach opinii publicznej zarzut. Tu i tam padło jakby oskarżenie: destabilizacja w Polsce może spowodować destabilizację w Europie.

W takim to klimacie wokół naszych spraw za granicą przyjęto wiadomość, najpierw o rekomendowaniu przez Komitet Centralny PZPR gen. Wojciecha Jaruzelskiego na premiera rządu, potem jego wybór przez Sejm, rekonstrukcję Rady Ministrów i program jej prac. Niemal wszystkie agencje **na czoło wybiły wezwanie nowego premiera do „trzech pracowitych miesięcy, 90 spokojnych dni",** podkreślając, że w tym krótkim czasie możliwe jest przywrócenie w kraju normalnego rytmu pracy i nawiązanie konstruktywnego dialogu. **Zainteresowanie wzbudził także dekalog spraw,** na których skoncentruje się rząd w najbliższym okresie. — Z oświadczenia programowego wynika, że władze na obranej przed miesiącami drodze szukają rozwiązań złożonych problemów i dróg wyjścia z kryzysu. Kierownictwo polskiej polityki spoczywa mocno w rękach ludzi, dążących do przemian, zwolenników odnowy, ale warunkiem powodzenia jest, jak to pisze np. „Koelner Stadt-Anzeiger", „aby Polska ponownie zaczęła pracować".

Orientacją nowego rządu — podkreśla dla odmiany francuski „Le Figaro" — będzie przede wszystkim wzmocnienie stanowczości i dyscypliny, rozszerzenie sojuszu z ludźmi rozsądnymi i odpowiedzialnymi. Agencja Reutera wyeksponowała m. in. ten fragment wystąpienia premiera, w którym mówił on **o nasilonej działalności elementów antysocjalistycznych** oraz dążeniu sił z zewnątrz do wywołania zakłóceń w kraju i odciągnięcia go od wspólnoty państw socjalistycznych. Hiszpański „El Pais" uważa, że możliwe jest większe zdecydowanie w kształtowaniu stosunków między rządem a „Solidarnością". W niektórych komentarzach podkreśla się, że **nowy ruch związkowy może wiele przegrać, jeśli nie podejmie jednoznacznie wezwania premiera do trzymiesięcznego moratorium.** W pierwszych komentarzach po posiedzeniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej w Gdańsku wydobywa się ogłoszoną tam gotowość do położenia kresu strajkom, co nie jest jednak ostateczną odpowiedzią „Solidarności" na apel premiera. UPI pisze, że kierownictwo związku osłania się jeszcze koniecznością „starannego przeanalizowania" wezwania.

W programowym oświadczeniu prezesa Rady Ministrów w Sejmie wiele miejsca zajęła międzynarodowa pozycja Polski i jej stosunki z innymi państwami. Tę część otwiera jednoznaczne stwierdzenie: **„Miejsce Polski Ludowej jest i pozostanie wśród sił socjalizmu".** Niezmienne są więc priorytety polskiej polityki zagranicznej, które wynikają z naszej racji stanu, gorzkich doświadczeń historii i przynależności do ustrojowej wspólnoty. Dlatego rząd będzie systematycznie podejmował kroki, zmierzające do dalszego rozwijania stosunków przyjaźni i wszechstronnej współpracy ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi.

Rząd będzie kontynuował politykę szerokiej, pożytecznej współpracy ze wszystkimi państwami świata **w imię nadrzędnego dobra, jakim jest pokój i bezpieczeństwo międzynarodowe.** Będzie też konsekwentnie solidaryzować się z narodami walczącymi o wolność i niepodległość.

Zachowanie i rozwijanie odprężenia w stosunkach Wschód — Zachód, uczestniczenie w dialogu politycznym — oto, czym jesteśmy szczerze zainteresowani. Z tego też względu podtrzymujemy swoją inicjatywę zwołania w Warszawie konferencji odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie. W nawiązaniu do tej i innych naszych propozycji premier Jaruzelski stwierdził:

„Uważamy te zadania za nader ważne właśnie teraz, gdy aktywizacja sił forsujących wyścig zbrojeń negatywnie obciąża klimat stosunków międzynarodowych".

Również ta część sejmowego przemówienia nowego premiera spotkała się z dużym międzynarodowym zainteresowaniem.

W. SŁAWSKI

LISTY DO REDAKCJI

Dzięki dr Karolowi Przesmyckiemu, który w liście do Redakcji „Odgłosów" nr 6(1209) z dnia 8 lutego br. z zatroskaniem zapytuje: „Kto wydał decyzję o zlikwidowaniu XI Liceum Ogólnokształcącego im Michała Kajki w Łodzi? Gdzie jest sztandar tej szkoły. ufundowany przez Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich w Łodzi..." czuję się niejako upoważniona do postawienia odpowiednim czynnikom pytania: „gdzie się znajduje p i e r w s z y sztandar XI Państwowego Koedukacyjnego Gimnazjum i Liceum w Łodzi, ufundowany przez Komitet Rodzicielski wspólnie ze społeczeństwem Bałut?

„CO SIĘ STAŁO Z LICEUM IM. MICHAŁA KAJKI?"

XI Państwowe Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum w Łodzi powstało na Bałutach 15 lutego 1945 r., mieściło się początkowo, o czym nie wspomniał naczelnik Przesmycki, w niewielkim domku wchodzącym w skład budynków klasztornych O.O. Bernardynów (sam klasztor wówczas zajmowało wojsko radzieckie) przy ul. Spornej 73, w tzw. „domku ogrodnika".

Organizatorem szkoły był jedyny ocalały z pożogi wojennej profesor przedwojennego rozwojowego (na razie młodsze klasy) Gimnazjum Ojców Bernardynów — dyr. Zenon Kowalski, świetny pedagog, wielki przyjaciel młodzieży. To my, ówczesna młodzież bałucka, wspólnie z dyrektorem Kowalskim i gronem pedagogicznym (tu nie sposób wymienić wszystkich profesorów, ograniczę się więc tylko do prof. Mieczysławy Nikołajczukowej i jej męża Aleksandra, znakomitego matematyka) wynaleźliśmy dla szkoły jako tako niezniszczone pomieszczenie wśród zgliszcz na krańcach spalonego getta w rejonie obecnego kina „Halka". Znosiliśmy tam krzesła z domu, rewindykowaliśmy rozszabrowane przez Niemców meble i pomoce szkolne, niektóre sami wykonaliśmy. Malowaliśmy i szkliliśmy przyszłe klasy, a trzeba wziąć pod uwagę, że wówczas nikomu nie przychodziło jeszcze do głowy „organizowanie czynów".

Była „Jedenastka" wspaniałą szkołą — dzięki jej profesorom, niepowtarzalnej atmosferze, a i młodzieży, częściowo dorosłej, a też o stażu okupacyjno-konspiracyjnym, która z niezwykłą pracowitością nadrabiała zaległości okupacyjne i od podstaw organizowała „swą bandę".

I teraz wracam do sprawy sztandaru. Uroczystości poświęcenia sztandaru były ukoronowaniem tamtych podstawowych prac organizacyjnych przy tworzeniu pierwszej w dziejach Bałut pełnoklasowej szkoły średnie. Były też istnym świętem dla Bałut. Aktu dokonał w asyście dostojników, m. in. prałata-proboszcza kościoła NM Panny ze Starego Miasta, ksiądz biskup Kazimierz Tomczak — niezłomny patriota, jedna z najpiękniejszych postaci we wczorajszych dziejach Łodzi. Ojcami chrzestnymi sztandaru byli wysocy oficjele miasta, Kurator Okr. Szkolnego oraz działacze państwowi bardzo wysokiego szczebla o głośnych w historii trzydziestopięciolecia nazwiskach. Opis uroczystości: poświęcenia, wbijania gwoździ, uroczystej akademii, przepięknych przemówień o znaczeniu symboli narodowych i takich imponderabiliów, jak Wolność i Honor, mogą łodzianie znaleźć w pożółkłych rocznikach „Głosu Robotniczego" i „Dziennika Łódzkiego" z jesieni tamtego roku oraz w książce T. Chróścielewskiego „Szkoła dwóch dziewcząt". My, ówczesna młodzież bałucka, współorganizatorzy „naszej Jedenastki", ślubowaliśmy z palcami na drzewcu tego sztandaru z Orłem i hasłem „Honor i Ojczyzna" w otoku, że...

Większość naszych profesorów odeszła już na Sesję Wieczystą. „Jedenastka" została nagle, ku naszemu i naszych dzieci niemałemu zaskoczeniu, zlikwidowana, ale my, jej pierwsi wychowankowie, mamy święty obowiązek pytać głośno i u z y s k a ć o d p o w i e d ź: Gdzie znajduje się n a s z sztandar — sztandar XI Państwowego Koedukacyjnego Gimnazjum i Liceum dla Dzielnicy Bałuty — Doły w Łodzi, na który przysięgaliśmy.. i olbrzymia większość z nas przysięgi owej dotrzymała?!

HONORATA CHRÓŚCIELEWSKA

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

Polski model gospodarczy – prawda czy złudzenie?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Odmienność obecnej sytuacji ekonomicznej kraju w porównaniu z minionymi okresami odnowy polega na tym, że stoimy dziś przed alternatywą: reforma albo długotrwały, pogłębiający się kryzys społeczno-ekonomiczny.

Po przeszło trzymiesięcznej wytężonej pracy Komisji ds. Reformy Gospodarczej (składająca się wraz z zespołami roboczymi z blisko 500 osób!) przygotowała projekt „Podstawowych założeń reformy gospodarczej", który został udostępniony szerokiej opinii publicznej. Projekt ten stanowi preludium do otwartej, ogólnospołecznej debaty na temat istoty i kierunków zmian systemu funkcjonowania gospodarki narodowej.

W dyskusjach o reformie przeważają wątki krytyczne i troska o demokratyczny charakter systemu funkcjonowania gospodarki. Nadmiar krytyki na pewno nie zaszkodzi sprawie reformy. Niepokoi natomiast fakt, że w lawinie krytycznych uwag ginie niekiedy pierwiastek pozytywnych i klarownych propozycji, czy zaleceń dotyczących zmian w koncepcji komisji partyjno-rządowej. Istnieje więc potrzeba spojrzenia na ów projekt chłodnym okiem, mając świadomość, że jest on pierwszą, daleką do doskonałości wersją reformy gospodarczej. Zasadniczą intencją tego artykułu jest próba oceny założeń reformy przez pryzmat kryteriów, których spełnienie stanowi o powodzeniu reformatorskich poczynań. Innymi słowy idzie o to, czy zawarte w omawianym dokumencie propozycje rozwiązań systemowych oraz sposób ich realizacji gwarantują osiągnięcie szczytnych celów reformy, do których w myśl projektu należą:

— ukształtowanie systemu i mechanizmów funkcjonowania gospodarki umożliwiających wypełnienie żywą treścią zasady samorządności ludzi pracy oraz sprzyjających stałemu postępowi społeczno-ekonomicznemu kraju,

— stworzenie warunków służących pełnej realizacji socjalistycznej zasady równości szans wszystkich obywateli,

— osiągnięcie i utrzymanie na stałe równowagi gospodarczej (rynkowej i płatniczej),

— zmiana układu stosunków między centralnymi organami władzy a przedsiębiorstwami i ich załogami polegająca na swoistym połączeniu strategicznej roli planowania centralnego z samodzielnością przedsiębiorstw i demokracją pracowniczą.

W celu dokonania oceny założeń reformy posłużę się trzema kryteriami: primo, logicznej spójności i kompleksowości założeń proponowanego systemu; secundo, adekwatności postulowanych rozwiązań do nowych uwarunkowań społeczno-politycznych (niezależne związki zawodowe, pluralizm w życiu społecznym); tertio, sposobu podejścia do kwestii kosztów społecznych przeprowadzenia reformy.

I. DYLEMAT RÓWNOWAGA — REFORMA.

W projekcie komisji partyjno-rządowej zapisano tezę, iż warunkiem sine qua non skuteczności reformy jest zasadnicze złagodzenie ostrego stanu nierównowagi gospodarczej. Zmiany w systemie funkcjonowania same przez się nie zlikwidują zjawiska inflacji, nie zracjonalizują wadliwej struktury gospodarki i nie poprawią bilansu płatniczego kraju. Wręcz przeciwnie ,te dysproporcje i napięcia mogą zniweczyć reformę. W tej skomplikowanej sytuacji pierwszy ruch należy do polityki gospodarczej, która powinna zredukować napięcia inflacyjne, poprawić zaopatrzenie rynku wewnętrznego i zaopatrzenie materiałowo-techniczne przedsiębiorstw, przezwyciężyć napięcia w handlu zagranicznym oraz uporządkować front inwestycyjny. A więc reforma staje się luksusem na lepsze czasy. Taka jest kwintesencja myślenia twórców projektu reformy.

Przedstawiony pogląd należy uznać w obecnych warunkach gospodarczych za błędny i niebezpieczny z punktu widzenia powodzenia reformy. Można przytoczyć kilka argumentów wykazujących słabości tego poglądu.

Po pierwsze — nierównowaga gospodarcza spowodowana jest w głównej mierze przestarzałym, nakazowo-rozdzielczym systemem funkcjonowania, który nie stwarza przesłanek do przezwyciężania dysproporcji ekonomicznych, a przeciwnie wykazuje tendencję do kumulacji napięć. Najlepszym tego dowodem, są dotychczasowe negatywne doświadczenia z próbami zrównoważenia rynku wewnętrznego, bilansu handlowego i uporządkowania sfery inwestycji.

Po wtóre — ewentualne niepowodzenie polityki uzdrowienia gospodarki może osłabić w odczuciu społeczeństwa potrzebę kompleksowej reformy i spowodować odroczenie jej wprowadzenia ad calendas Graecas.

Po trzecie — brak radykalnej i konsekwentnej reformy gospodarczej zwiększyć może już i tak duże zainteresowanie społeczeństwa sprawami podziału dochodu narodowego, ze szkodą dla najważniejszego obecnie problemu, jakim jest podniesienie wydajności pracy.

Autorzy projektu reformy postulują opracowanie trzyletniego planu stabilizacji gospodarki, który ma objąć lata 1981—1983. Plan ów powinien przywrócić równowagę na głównych odcinkach gospodarki i stworzyć szersze niż obecnie możliwości wyboru ekonomicznego w skali centralnej i w przedsiębiorstwach. Działania podjęte w tym planie spowodują oczyszczenie przedpola dla wprowadzenia w życie założeń reformy. W ramach działań stabilizujących gospodarkę znajdują się zadania o kapitalnym wprost znaczeniu dla naszego bytu ekonomicznego. Pierwszoplanowym zadaniem jest rozwiązanie wieloletnich zaniedbań i kłopotów rolnictwa, które stanowi newralgiczną dziedzinę polskiej gospodarki. Proponuje się, aby polityka rolna państwa stwarzała dogodne warunki rozwoju wszystkich sektorów w rolnictwie. Zwiększenie udziału rolnictwa w wyżywieniu narodu wymaga poważnego wzrostu dostaw środków produkcji dla rolnictwa, wprowadzenia mechanizmu dostosowywania cen produktów rolnych do wzrostu kosztów, poprawy struktury agrarnej (zwiększenie obszaru gospodarstw chłopskich) i poprawy sprawności skupu płodów rolnych.

Przedsięwzięciom polityki na rzecz wzrostu podaży dóbr konsumpcyjnych powinny towarzyszyć równoległe działania na polu polityki dochodowej i cenowej, które umożliwiłyby ścisłe powiązanie wzrostu płac i dochodów ze wzrostem produkcji oraz stopniową zmianę poziomu i struktury cen. Posunięcia owe mają charakter działań antyinflacyjnych. W tym kontekście najwięcej kontrowersji wzbudzi z pewnością postulat komisji dotyczący zasadniczej przebudowy struktury cen detalicznych i dochodów ludności. Reforma cen detalicznych oznacza konieczność podniesienia poziomu cen olbrzymiej liczby wyrobów do wysokości społecznych kosztów wytwarzania i zlikwidowania wielu wynaturzeń istniejących w polityce cenowej. Warunkiem powodzenia operacji cenowej jest prawidłowo zbudowany system rekompensat dochodowych, chroniący poziom płac realnych grup społecznych o niskich dochodach oraz akceptacja społeczna tej operacji.

Propozycje reformy cen detalicznych są w moim przekonaniu zbyt mgliste i ogólnikowe, aby można było podjąć w tej kwestii rozwiniętą polemikę. Ograniczę się przeto do następujących sugestii. Po pierwsze, koncepcja reformy cen detalicznych powinna być przedstawiona w sposób wielowariantowy, z uwzględnieniem skali operacji i tempa jej przeprowadzenia. Niedopuszczalne jest w tej bardzo drażliwej społecznie sprawie forsowanie rozwiązania jednowariantowego. Po wtóre, należy poważnie i wnikliwie rozważyć koncepcję podwyżki cen żywności polegającej na przeniesieniu dopłat budżetowych (setki miliardów złotych rocznie) do cen żywności na płace w formie rekompensaty (oznaczałoby to średni przyrost płac o ok. 1.400 zł.). Tym samym wporwadzonoby ceny uzasadnione rzeczywistymi kosztami produkcji.

Kolejnym bardzo ważnym ogniwem planu stabilizacji gospodarki jest polityka inwestycyjna, która stanowi klucz do uzdrowienia ekonomiki polskiej. W raporcie komisji zgłoszono pod adresem polityki inwestycyjnej postulaty zmierzające do zmniejszenia programu inwestycji produkcyjnych, przeprowadzenia ostrej weryfikacji tego programu, uprzywilejowania inwestycji związanych z realizacją głównych celów społecznych (poprawa wyżywienia, budownictwo mieszkaniowe, produkcja towarów rynkowych o charakterze standardowym itp. i zwiększających możliwości eksportowe kraju. Niezbędne jest również w dobrze pojętym interesie konsumentów dokonanie tzw. konwersji produkcji, a więc przestawienie gospodarki , poszczególnych branż i przedsiębiorstw z produkcji inwestycyjnej na konsumpcyjną.

Przedstawione propozycje wydają się bezsporne, jeśli chodzi o samą ideę porządkowania frontu inwestycyjnego i uznanie priorytetu interesu konsumpcji nad interesem inwestycji. Wszelako jednak propozycje te są wielce enigmatyczne i logicznie niespójne. Przede wszystkim nie wiadomo, na jakim w przybliżeniu poziomie należy ustabilizować stopę inwestycji, aby utrzymać priorytety społeczne w gospodarce. Oprócz tego projekt niemal całkowicie pomija problem trudności i kosztów społecznych związanych z cięciami inwestycyjnymi i konwersją. Okazuje się, że podstawową przeszkodą w porządkowaniu inwestycji są po raz kolejny racje resortowe. Dlatego też podjęte w r. 1980 decyzje rządu w sprawie zatrzymania 49 wielkich inwestycji realizowane są bardzo opornie. Kontynuowanie obecnego programu inwestycyjnego musiałoby prowadzić do drastycznego obniżenia poziomu życia społeczeństwa. Utrzymanie dotychczasowego poziomu inwestowania przy założeniu niepodejmowania żadnej nowej budowy wymagałoby ok. 6 lat na zakończenie tych inwestycji, które w końcu 1980 r. były w toku. Przykład inwestycji potwierdza wcześniej sformułowany pogląd o nierealności złagodzenia ostrej nierównowagi gospodarczej bez głębokiej reformy systemu gospodarczego . W starych strukturach instytucjonalnych podporządkowanych racjom najsilniejszych resortowych grup nacisku interes ogólnospołeczny jest traktowany „po macoszemu" i realizowany jako swoista działalność filantropijna.

W projekcie reformy zbagatelizowany został problem nieuniknionych skutków cięć inwestycyjnych w sferze zatrudnienia. Jak wykorzystać zwolnioną siłę roboczą? Jakie należy stworzyć zachęty do zmiany zawodu? Jak zrekompensować pracownikom chwilowy stan bezrobocia? Są to pytania retoryczne. Należy więc zgłosić pod adresem komisji partyjno-rządowej decyderat poważnego i wnikliwego rozpatrzenia dylematu zatrudnienia w dalszych pracach nad reformą.

I wreszcie zadanie przywrócenia równowagi w bilansie płatniczym, ostatni ale bardzo ważny problem w planie stabilizacji gospodarki. Doprawdy zadziwiającą jest zaprezentowana w projekcie lakoniczność ujęcia tej tak istotnej dla całego narodu kwestii. Wiadomo, że zadłużenie naszego kraju niczym „miecz Damoklesa" wisi nad gospodarką i hamuje jej wyjście z głębokiej depresji. W projekcie można przeczytać, że łagodzenie napięć w bilansie płatniczym nie powinno polegać na założeniu antyimportowego charakteru gospodarki. Należy przeto kontynuować racjonalny import i jednocześnie główną uwagę skierować na wzrost opłacalnego eksportu. Jest to wszystko, co proponuje komisja w celu uruchomienia polityki zmniejszania zadłużenia, które już obecnie jest tak olbrzymie (ok. 24 mld dolarów bez tzw. „chwilówek"), że — jak twierdzą pesymiści — spłacać je będą jeszcze nasi wnukowie.

Trzeba z całą odpowiedzialnością skonstatować, że możliwości płatnicze kraju są obecnie bardzo znikome i takie prawdopodobnie będą przez okres najbliższych 3—4 lat. Do końca roku 1981 zadłużenie kraju wzrośnie o ponad 3 mld dolarów. Wartość rocznego eksportu do krajów kapitalistycznych ledwie wystarczy do pokrycia obsługi zadłużenia w tych krajach w 1981 roku. Zdaniem specjalistów najlepszym środkiem gwarantującym wypłacalność polskiej gospodarki byłby eksport rzędu 10 mld dolarów rocznie. W obecnej sytuacji jest to zadanie zupełnie nierealne; choćbyśmy nawet ,jak stwierdza redaktor S. Bratkowski, wywozili łzy i krew, nie osiągniemy tej wartości eksportu. Jakie są wobec tego realne propozycje wyjścia z impasu płatniczego? W moim przekonaniu można by sięgnąć po rozwiązanie którym jest moratorium nałożone na nasze zadłużenie. Postulując rozważenie propozycji moratorium, które pozwoliłoby gospodarce na „wydłużenie oddechu", mam na myśli: primo — moratorium ogłoszone przez naszych wierzycieli, a nie przez nas samych, co byłoby samobójstwem ekonomicznym; secundo — moratorium dotyczące tylko tej części zadłużenia, która związana jest z kredytami gwarantowanymi przez rządy krajów zachodnich. Moratorium nie jest panaceum na bolączki naszej gospodarki, gdyż odracza tylko konieczność oddania długów. Dlatego też wynegocjowanie moratorium na część naszych długów nie zwalnia gospodarki do zdecydowanych działań na rzecz podniesienia efektywności produkcji. W ostateczności o wypłacalności gospodarki polskiej zadecyduje przemyślana i sprawnie przeprowadzona reforma systemowa, rekonstrukcja rolnictwa, oszczędna gospodarka surowcami i paliwami oraz unowocześnienie struktury przemysłu. Są to działania wzajemnie ze sobą sprzężone i mogą w perspektywie doprowadzić gospodarkę do stanu względnej równowagi.

Przedstawione wyżej krytyczne uwagi odnośnie poszczególnych fragmentów planu przywrócenia równowagi gospodarczej skłaniają do refleksji o charakterze ogólnym. Stwierdzić należy, że zaproponowany w projekcie reformy pakiet rozwiązań jest niekonkretny, ogólnikowy i niepełny. Poszczególne elementy polityki złagodzenia napięć gospodarczych nie tworzą logicznie spójnej całości; sprawiają wrażenie pobożnych życzeń prezydium komisji ekspertów. Stojąc na gruncie tych propozycji trudno wyobrazić sobie rychłe wprowadzenie w życie reformy, gdyż nie gwarantują one realnego zlikwidowania dysproporcji i napięć gospodarczych. A jest to przecież podstawowy — w mniemaniu autorów projektu — warunek skuteczności reformy. Za istotną przyczynę mglistości owych propozycji uważam brak w projekcie reformy diagnozy kryzysu społeczno-gospodarczego. Warto więc przypomnieć architektom reformy, że zanim zaprowadzi się coś nowego, należy gruntownie poznać stare, aby wiedzieć na czym polegają nieprawidłowości.

II. SPOŁECZNO-POLITYCZNE DETERMINANTY REFORMY.

Kardynalną ułomnością rozważanego projektu, którą warto sobie uprzytomnić, jest pominięcie w nim problemu społeczno-politycznych uwarunkowań reformy. Stawia to autora artykułu w dość osobliwej sytuacji — prowadzenia dyskusji z tym czego nie ma w dokumencie. Waga tematu zmusza do zainteresowania się tą kwestią zwłaszcza, że większość społeczeństwa zaakceptowała tezę: bez demokracji w życiu społecznym i politycznym, a przede wszystkim w działaniu partii, nie będzie postępu w gospodarce. Nie można więc konstruować nowego systemu funkcjonowania gospodarki nie wychodząc z opłotków ekonomicznego spojrzenia na ów system.

W tym kontekście dwie kwestie wymagają szczególnego rozważenia: rola partii w gospodarce i mechanizm negocjacji społecznych. Istnieją obecnie duże szanse, aby w tych dziedzinach znaleźć optymalne i oryginalne, polskie rozwiązania. Znamionowałyby one osobliwość polskiego modelu gospodarczego polegającego na triadzie: racjonalne planowanie centralne — samodzielność przedsiębiorstwa — samorządność pracownicza i terytorialna.

Kluczem do demokratyzacji życia społecznego jest demokratyzacja w partii, wymagająca zmian w jej aparacie i sposobach działania. Zdając sobie sprawę z faktu, że najbliższy nadzwyczajny zjazd PZPR będzie najlepszą okazją do rehabilitacji konstytucyjnego zapisu o przewodniej roli partii można jednak podjąć próbę sformułowania kilku propozycji dotyczących sposobów i zakresu jej oddziaływania na bieg spraw gospodarczych i życie społeczne. Są to propozycje stanowiące zasadniczą część niezbędnych instytucjonalnych warunków powodzenia reformy gospodarczej.

Za decydujący warunek należy uznać takie zmiany w aparacie i które:

— zwiększą faktycznie uprawnienia i autentyczny wpływ organów przedstawicielskich: Sejmu i rad narodowych na administrację centralną i terenową,

— wyeliminują wpływ aparatu partyjnego na bieżące zarządzanie gospodarką.

Dla spełnienia tych dwóch warunków nieodzowne są konkretne zmiany sprzyjające demokratyzacji partii. Do zmian tych według mnie zaliczyć należy przede wszystkim:

1. Jasne rozgraniczenie kompetencji pomiędzy partyjnym aparatem a pozostałymi instytucjami administracyjnymi i społecznymi, które nie pozwoli już nigdy na kumulowanie, stanowisk, dublowanie działalności oraz zaciemnianie odpowiedzialności za podejmowane decyzje.

2. Przyjęcie i respektowanie zasady oddziaływania partii na organy przedstawicielskie tylko za pośrednictwem swych członków skupionych w tych organach.

3. Przebudowę struktury i doboru kierunków działania aparatu partyjnego, która zapewni koncentrację jego uwagi na sprawach ideowo-wychowawczych oraz na opracowywaniu koncepcji strategii społeczno-gospodarczej.

4. Zlikwidowanie instytucji tzw. nomenklatury w jej dotychczasowym kształcie. Należy wprowadzić dobór kadry kierowniczej w oparciu o kryteria kwalifikacji i walorów moralnych, a nie tylko przynależności partyjnej. Wymaga to jawnego i precyzyjnego określenia zasad praktycznych w tym zakresie, a zwłaszcza zabezpieczenia przed szkodliwym zjawiskiem selekcji negatywnej.

Dokonanie owych zmian w życiu partii zagwarantuje jej autentycznie przewodnią rolę w społeczeństwie. Styl działania partii powinien być zgodny z zasadą, którą trafnie przedstawił przywódca partyjny Węgier, J. Kadar: „Mamy tylko jedną partię polityczną, ale powinniśmy ciągle pracować tak, jak gdyby było dwadzieścia partii i tajne głosowanie co dzień. To jest jedyna droga dla zdobycia poparcia narodu".

Kilka zdań wreszcie o innym aspekcie procesu demokratyzacji, a mianowicie o procedurach i mechanizmie negocjacji społecznych w sprawach ważnych decyzji. Dotychczasowe procedury negocjacyjne budzą wiele kontrowersji i zastrzeżeń. Brak sprawnego mechanizmu negocjacji społecznych stał się przynajmniej dwukrotnie w naszej powojennej historii bezpośrednim stymulatorem kryzysów społeczno-politycznych (1970 i 1976).

Pojawienie się w polskim krajobrazie społecznym nowych sił w postaci niezależnych związków zawodowych, pogłębianie się procesu dywersyfikacji celów, wartości i poglądów społecznych, musza władzę państwową do wypracowania mechanizmu negocjacyjnego umożliwiającego rozsądny kompromis, jawne i harmonijne uzgadnianie spornych racji. Szczególnego znaczenia nabierają stosunki rządu ze związkami zawodowymi. Posiadają one newralgiczny charakter w obecnej sytuacji kraju i dlatego konieczny jest w tej dziedzinie duży wysiłek w celu znalezienia jakiegoś modus vivendi między obu partnerami. W niedalekiej przyszłości mogą powstać potencjalne konflikty społeczne wywołane np. reformą cen detalicznych. Jedynym sposobem ich uniknięcia będzie uzyskanie zgody związków zawodowych na tę operację. Aby to nastąpiło należy wykształcić w naszym życiu publicznym określone procedury negocjacji społecznych. Nie jest to zadanie łatwe ze względu na brak tradycji autentycznych konsultacji władzy ze społeczeństwem i instytucji mediacji pomiędzy obu stronami. W związku z tym rząd i związki zawodowe popełniają błędy w procesie dochodzenia do kompromisu. Pewna marża błędów jest zresztą obiektywną i słoną ceną, jaką płaci społeczeństwo za postęp w demokratyzacji życia publicznego.

Budowie systemu negocjacji społecznych sprzyjać będą rozwiązania polegające na:

— zwiększeniu reprezentatywności organów przedstawicielskich i wzmocnieniu roli Sejmu jako strażnika i wyraziciela woli narodu; jako najwyższego arbitra w sporach między administracją państwową a związkami zawodowymi,

— zwiększeniu swobody dyskusji w środkach masowego przekazu, co może działać jako czynnik moderujący napięcia społeczne,

— ukształtowaniu partnerskich i konstruktywnych stosunków administracji państwowej ze związkami zawodowymi poprzez stałe kontakty robocze w sprawach określonych umową społeczną.

Należy również brać pod uwagę w przyszłości potrzebę przeprowadzenia ogólnonarodowego referendum przed podjęciem pewnych, kapitalnych dla społeczeństwa decyzji, które mogą budzić szczególne opory.

Pełna realizacja tych kilku elementarnych rozwiązań w zakresie funkcjonowania systemu negocjacji społecznych pozwoli w przyszłości zapobiec szkodliwym i niepotrzebnym konfrontacjom między rządem a związkami zawodowymi i ułatwi wprowadzenie założeń reformy gospodarczej. Jest to jedynie słuszna droga, na którą powinniśmy wejść, by wyprowadzić kraj z obecnego impasu społeczno-ekonomicznego.

WITOLD KASPERKIEWICZ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Teza druga, to przekonanie, że **w gospodarce, dziś i w latach 80, zawarte są rozległe rezerwy postępu, kryjące się w różnych dziedzinach życia, niemal we wszystkich.** Są to rezerwy **pozytywne**, wynikające z obecnej formy rozwoju naukowo-technicznego, z dotychczasowych przeobrażeń ilościowych, a zwłaszcza jakościowych, w wyposażeniu kapitałowym i różnych innych warunkach funkcjonowania gospodarki. Ale są również rezerwy **negatywne** będące wyrazem marnotrawstwa masowego w kraju. Należą też do nich błędnie podejmowane decyzje, nieodpowiedzialność ekonomiczna przy rozwiązywaniu rozmaitych spraw gospodarczych i społecznych.

Posiadamy zatem potencjalne możliwości stawienia czoła tym wszystkim wezwaniom, jakie rzeczywistość dzisiejsza i lat 80 stawia przed naszym krajem i stawiać będzie. Jest tylko kwestia zbudowania warunków, w których by te rezerwy mogły zacząć owocować na rzecz społeczeństwa, przestały być rezerwami martwymi.

Teza trzecia traktuje o przyczynach niepowodzeń prób minionych. W 25-leciu było wiele takich prób. Na szczególną uwagę zasługują dwie. Wcześniejsza dobrze znana z historii najnowszej naszej gospodarki, podjęta została w latach 1956—57. Instytucją symbolizującą ją była **Rada Ekonomiczna** — szczególna instytucja, do której tradycji i dorobku wciąż wracamy, bo jest to ciągle źródło inspiracji intelektualnych. Organ ten łączył chyba najświetniejsze polskie umysły w dziedzinie gospodarki, myśli społecznej, pod przewodnictwem **Oskara Langego.**

Inna próba została podjęta przez nową ekipę po tragedii grudnia 1970 r. Było to w latach 71—72, kiedy toczyły się prace nad koncepcja WOG-owskiej reformy gospodarczej i w latach 73--74, kiedy ta WOG-owska reforma gospodarcza była wdrożona w praktykę przemysłową.

Instytucją, która w drugiej próbie symbolizowała reformy, była **Komisja Partyjno-Rządowa** powołana w 1971 roku, która na VI Zjeździe PZPR zaprezentowała swój raport i koncepcję WOG-owskiego manewru, nigdy nie opublikowane, pozostające ciągle jako dokumenty wewnętrzne czy nawet poufne.

Obie próby skończyły się niepowodzeniem. I bezpośrednio po latach 56—57, i bezpośrednio po latach 73—74, **system funkcjonowania gospodarki reprodukował tradycyjne rozwiązania.** Z ogromna siłą bezwładności wracał do tradycyjnego systemu, likwidując w sposób faktyczny i formalny próby nowych rozwiązań.

MIĘDZY TYM, CO CENTRALNE A TYM, CO SAMODZIELNE

Istnieje zgodność co do tego, że główna przyczyna tych niepowodzeń nie tkwiła w ułomnościach koncepcji ekonomicznych. Tkwiły one w sferze społeczno-politycznej, w braku politycznych przesłanek realizowania głębokiej, poważnej reformy ekonomicznej.

Czwarta teza. Jest ona szczególnie ważna dla ukazania tego, **co łączy różne warianty obecnie dyskutowanej reformy.** Należy do niej **przekonanie o potrzebie gruntownego umocnienia planu centralnego,** jako wykładnika potrzeb ogólnospołecznych. Wbrew bowiem wszystkim założeniom doktrynalnym, **system tradycyjny, zwłaszcza w jego polskim wydaniu, jest systemem, który cechuje słabość centralnego kierowania i centralnej kontroli procesów gospodarczych.** Centralne kierowanie cechuje odrywanie się od rzeczywistych aspiracji, preferencji i potrzeb ogólnospołecznych. Różni autorzy w różny sposób akcentują ten kierunek.

Innym jej składnikiem jest przekonanie, iż **przebudowa systemu funkcjonowania gospodarki narodowej musi oprzeć się na konsekwentnej racjonalności i innowacyjności w postępowaniu podmiotów gospodarczych.** Z tym łączy się wniosek, iż stawka na racjonalność i innowacyjność ekonomiczną jest równocześnie stawką na nową pozycję przedsiębiorstwa. Historia, i nasza, i właściwie gospodarki światowej, dowodzi, że **przedsiębiorstwo musi być podmiotem gospodarującym, konsekwentnie zdolnym do działań na zasadzie racjonalności i innowacyjności.** Nie chcę być źle zrozumiany. Ta teza bynajmniej nie musi oznaczać pomniejszania znaczenia centralnego podmiotu, planowania centralnego, reguł, jakie w tym planowaniu i postępowaniu centralnego podmiotu obowiązują i muszą obowiązywać. Jednakże podkreśla ona to, że jakkolwiek ogromnie wiele zależeć może od tych reguł postępowania centralnego podmiotu, jakkolwiek ogromnie wiele postępu wnieść może w tę całą dziedzinę demokratyzacja stosunków politycznych, to jednak podmioty te zawsze pozostają podmiotami politycznymi, kierującymi się politycznymi zasadami działania, podmiotami, które z tego powodu nie są predysponowane do podejmowania decyzji na zasadach konsekwentnej racjonalności i innowacyjności ekonomicznej. Jest to po prostu natura tych podmiotów, na tym polega ich siła, na tym polega ich zdolność do wykonywania funkcji, jakie na nich ciążą, ale na tym także polega ich słabość jako podmiotów ekonomicznych.

Składnikiem kolejnym jest **przekonanie o potrzebie głębokiej demokratyzacji ekonomicznej.** To znaczy o tym, że w podejmowaniu decyzji gospodarczych o wiele większą niż dotąd rolę, aktywną, twórczą, podejmować powinni sami ludzie pracy. Dotyczy to tak szczebla makroekonomicznego, działania centralnych podmiotów gospodarczych, jak i wszystkich pozostałych szczebli, włączając w to szczebel mikroekonomiczny — działanie przedsiębiorstw.

Te składniki nie są sprzeczne wewnętrznie. Uświadomienie sobie, że te kierunki nie są sprzeczne wewnętrznie, jest dużym osiągnięciem intelektualnym, programowym. W tradycyjnym rozumowaniu przeciwstawiano w sposób zasadniczy samodzielność przedsiębiorstwa, jego pozycję jako podmiotu gospodarczego, sile i skuteczności planowania centralnego. Wyobrażano sobie, że jeżeli się zwiększa samodzielność przedsiębiorstwa, umacnia jego pozycję, to tym samym rezygnować należy z walorów planowej gospodarki. I odwrotnie, jeżeli umacnia się elementy planowości w życiu gospodarczym, to musi to sprowadzać rolę przedsiębiorstwa do pozycji sterowanych dyrektywami wykonawców planu. **Tymczasem nie ma takiego przeciwstawiania, jeżeli traktuje się te oba kierunki rozumnie.** Są one ze sobą zbieżne. Tworzą czynniki wzmacniające się wzajemnie. Bez silnej, społecznie zdeterminowanej kontroli centralnej nad gospodarką narodową, nie mogą powstać w naszym ustroju warunki sprzyjające umocnieniu pozycji przedsiębiorstw. I odwrotnie — bez efektywnie, racjonalnie, innowacyjnie działających przedsiębiorstw, nie mogą powstać warunki dla wygrania tych potencjalnych walorów, które zawarte są w systemie planowego sterowania gospodarką.

Kierunki postępowej przebudowy systemu prowadzić muszą do rosnącej roli rynku, mechanizmów rynkowych, więzi poziomych, umownych, pomiędzy jednostkami życia gospodarczego. Nie bójmy się różnego rodzaju etykietek, które od czasu do czasu jeszcze usiłuje się stosować, w postaci „rynkowego socjalizmu" czy innych pejoratywnych określeń. Postępowej reformy systemu bez przewartościowania i dźwignięcia na całkowicie inny poziom niż dotychczas, znaczenia i rangi mechanizmów rynkowych, mechanizmów umownych, nie ma i być nie może. **Oczywiście nie chodzi o to, aby mechanizmy rynkowe miały w naszych ustrojowych realiach przekształcić się w tak zwany żywiołowy, nie kontrolowany rynek.**

Jeśli chodzi o **scenariusz reformy,** czyli sposób wprowadzenia jej w życie, to w tej sprawie stykamy się z charakterystycznym dla Polski zjawiskiem zaklętego koła, stworzonego przez zależność pomiędzy reformą a równowagą. Brak równowagi, napięcie, o którym wspominałem, są produktem tradycyjnego systemu. Ale z drugiej strony łamanie tradycyjnego systemu, wprowadzenie nowych mechanizmów, jest blokowane przez te niedobory równowagi. Uświadamiamy sobie, że to zaklęte koło tworzy szczególne trudności i komplikacje w programach reformy w Polsce, ale w żadnym wypadku nie zamyka przed tą reformą drogi.

Jakie jest wyjście? Otóż jedna z propozycji dotyczy **fazowego podejścia do realizacji reformy.** To znaczy, realizowanie reformy nie w jednym uderzeniu, powiedzmy na wzór operacji węgierskiej z 1956 roku, ale w kolejnych fazach. Nie jest to ani atrakcyjne, ani bezpieczne. Przeciwnie, fazowe podejście jest najeżone niebezpieczeństwami, ale innego wyjścia nie ma.

Koncepcja fazowego podejścia operuje schematem trzech faz. Inaczej te fazy formułuje dokument Komisji Rządowej, inaczej materiał PTE, ale z grubsza podobnie.

Fazą pierwszą są działania wstępne. W 1981 roku — nie czekając na przeprowadzenie głębokich przeobrażeń systemowych, już teraz, niezwłocznie — usuwać to co w tradycyjnym systemie nagromadziło się jako rzeczy najbardziej szkodliwe, najbardziej hamujące inicjatywę i efektywność ekonomiczną. Jeżeli cały szereg rozwiązań jest oczywisty i niewątpliwie leży na linii postępowych przeobrażeń i reformy, to, nie czekając, robić to należy już od razu, natychmiast, aby przynosić pewną ulgę procesom gospodarczym i społecznym i aby częściowo, w pewnej przynajmniej mierze, przełamywać ten zaklęty krąg. Niektórzy nazywają to „małą reformą". Jest w tym wiele rzeczy słusznych, wiele rzeczy dyskusyjnych i być może, szereg zupełnie niesłusznych. Ale to jest odrębna sprawa.

Faza druga jest decydująca. Datuje się ją zazwyczaj na rok 1982 czy na rok 1983, w którym ma nastąpić decydujące uderzenie w system tradycyjny. Jednakże, z uwagi na wszystkie równowagowe ograniczenia, społeczne także, w tym decydującym kroku datowanym na rok 1982—83, prawdopodobnie będzie się musiało znaleźć jeszcze szereg kompromisów, szereg rozwiązań nie doprowadzonych do końca, stanowiących swego rodzaju ustępstwa na rzecz dotychczasowych, tradycyjnych metod.

I dlatego potrzebna jest faza trzecia, rozwinięta, docelowa, czy końcowa, która, trudno przewidzieć kiedy, zamknie program reformy, pozwoli zakończyć proces przeobrażeń systemowych w wytkniętym kierunku. Może pod koniec lat 80.

Wokół tej kwestii istnieje sporo kontrowersji. Przede wszystkim istnieją kontrowersje wokół barier które w decydującej fazie zmuszałyby do przyjęcia kompromisów.

O trzech sprawach chcę tylko wspomnieć. Pierwsza to ceny. **Przy głębokim rozchwianiu równowagi, bez aktywnego wykorzystania instrumentu cenowego, przywrócenie równowagi wydaje się mało możliwe.** Tu tkwi pierwsza bariera społeczno-polityczna. Czy można się zdecydować na te cenowe rozwiązania służące równowadze w sposób jednofazowy, dokonując gruntownej reformy cen i płac, która pozwoliłaby niejako przezwyciężyć inflację, dokonać stabilizacji gospodarki i wprowadzić ją w zupełnie inny rytm uregulowanych mechanizmów?

Sprawą drugą jest **wiązanie płac, dochodów organizacji gospodarczych z wynikami finansowymi przedsiębiorstw.** Postępowe rozwiązania reformy zakładają taki związek. Jest on ważnym, integralnym elementem reformy. Czy jednak taki związek, zrealizowany w sposób konsekwentny, np. w postaci zasady, iż załoga, samorząd dysponuje całym, wygospodarowanym dochodem przedsiębiorstwa i dokonuje jego podziału między płace i między część na rozwój przedsiębiorstwa — czy całkowite obarczenie płacową odpowiedzialnością załóg za wyniki finansowe przedsiębiorstwa jest możliwe? Czy załogi będą gotowe to zaakceptować? Czy warunki ekonomiczne, w jakich będą musiały w tych latach pracować, uzasadniają z ekonomicznego i społecznego punktu widzenia taki agresywny, silny związek wyników finansowych z płacami załóg?

I trzeci problem, o którym pragnę wspomnieć. **Bariera struktur organizacyjnych gospodarki narodowej a zwłaszcza stopnia zmonopolizowania tych struktur.** Wszystkie koncepcje reform zakładają intensywne działanie na rzecz przezwyciężania zbędnych monopoli, łamania tych wszystkich mechanizmów, które prowadzą do pobierania renty nieudolności. Czy istniejące niedobory braki, konieczność blokowania siły przez niezrównoważony rynek, producentów, przez wysoko skoncentrowane, monopolistyczne organizacje zbytu, jest możliwe już zaraz już natychmiast?

Innymi słowy, od sposobu oceny tych trzech barier, ze społecznego czy społeczno-politycznego punktu widzenia, zależeć musi przede wszystkim stosunek do scenariusza reformy. Jeżeli, staniemy na stanowisku, że są to bariery do pokonania, obiektywne, których w dzisiejszych realiach nie jesteśmy w stanie przezwyciężyć w okresie najbliższych dwóch lat, to wówczas fazowe podejście do reformy wydaje się jedynym, jakkolwiek trudnym i najeżonym niebezpieczeństwami podejściem.

Jeżeli natomiast staniemy na stanowisku, że są to bariery w znacznej mierze wyolbrzymione, że istnieje gotowość społeczeństwa, aby te bariery odrzucić, aby zaakceptować ich odrzucenie, wówczas potrzeby takiego fazowego podejścia nie ma, przynajmniej w stosunku do fazy drugiej i trzeciej i można właściwie operować scenariuszem jednorazowego wprowadzenia głębokiej reformy systemowej.

Powiedziałem, że dwie poprzednie próby przegraliśmy z powodu braku przesłanek politycznych. A jak jest teraz? A jaki jest prognostyk dla obecnego podejścia? **Z ekonomicznego punktu widzenia wiemy dobrze, że przegrać go nie możemy, bo stoimy w kryzysowej sytuacji — jak niektórzy mówią — nad przepaścią.** No, ale pozostają realne uwarunkowania i decydujące znaczenie przesłanek politycznych. Przede wszystkim co to są za przesłanki? Po pierwsze, i chyba głównie — jest to **stworzenie klimatu zaufania pomiędzy władzą i społeczeństwem i jego autentycznymi organizacjami.** Otwartość na argumenty obu stron, zdolność do rozumnego dialogu w atmosferze życzliwości. Bez tej przesłanki nie tylko, że nie można reformy ekonomicznej zrealizować, ale nie można nawet ruszyć z nią z miejsca.

Po wtóre, jest to **konieczność przekonania ludzi kierujących partią i państwem, o potrzebie głębokiej reformy gospodarczej.** Chodzi o to, aby stosunek ten nie był taktyczny, aby reforma nie była traktowana jako manewr, przy pomocy którego usiłuje się rozwiązać doraźne trudności społeczno-polityczne. I, co więcej, aby ta determinacja, jeżeli nawet istniejąca w punkcie startu, nie uległa erozji w trakcie walki o reformę. Bo walką o reformę musi być twarda jako walka społeczna.

Rozwiązania reformy uderzają w szereg uprzywilejowanych grup. Byłoby iluzją sądzić, że te grupy nie będą podejmować wszelkiego rodzaju działań obronnych, aby reformę zniszczyć, jak to bywało dotychczas. I dlatego tak ważną rzeczą jest stanowisko czołowego kierownictwa politycznego w sprawie reformy, obecne i trwale utrzymujące się w toku narastających wielu, niekiedy dramatycznych trudności, które muszą towarzyszyć wdrażaniu reformy.

Przesłanką trzecią jest wreszcie **taki sposób działania centralnych organów podejmujących decyzje gospodarcze, ustalających plany społeczno-gospodarcze, który by zapewnił w tych decyzjach ich konsekwentne uspołecznienie.** To znaczy wyrażanie w tych planach i tych decyzjach rzeczywistych aspiracji, wyborów, potrzeb, stanowisk społeczeństwa. To są przesłanki polityczne.

Jestem optymistą i wydaje mi się, że wszystkie one dziś wyglądają lepiej, niż wyglądały w poprzednich naszych próbach. Wyglądają lepiej dlatego, że w życiu naszym rozpoczął się proces demokratyzacji. Od jego kontynuowania, od jego zasięgu, od głębokości zmian zachodzących w strukturach społeczno-politycznych, zależeć będzie stan przesłanek politycznych tej reformy. W tej dziedzinie, jak sądzę, „Solidarność" odegrała i ma nadal do odegrania, swoją wielką historyczną rolę.

JAN MUJŻEL

CHŁOPSKIE ZWIĄZKI

(Dalszy ciąg ze str. 1)

dukcji nadal były limitowane. Kiedy spółdzielnia produkcyjna przejmowała ziemię z PFZ, na zagospodarowanie każdego hektara otrzymywała od 50 do 70 tys. zł. Chłop, biorąc tę samą ziemię, musiał państwu płacić i dopiero w ostatnich tygodniach zaczęto mu udzielać 50 proc. bonifikaty. Ale, gdy chce kupić ziemię od sąsiada, musi płacić horrendalne sumy, dochodzące do 100 tys. zł za hektar.

Rolnicy spodziewają się także, że śmielej będzie się wprowadzać w życie jeden z punktów reformy rolnej, w myśl którego rodzinne gospodarstwa chłopskie mogą obejmować obszar do 100 ha.

Rolników drażni ponadto niesprawiedliwy podział żywności. Domagają się też obniżenia wieku emerytalnego, bo w wieku 65 lat trudno na wsi zapracować na solidną emeryturę. A już najbardziej krzywdzące jest przydzielenie im najniższej renty w kraju, w wysokości 1900 zł, i to na dwie osoby.

Zastanawiające jest, czemu pewna część chłopów odnosi się nieufnie do Gminnych Związków Kółek i Organizacji Rolniczych. Otóż SKR wchodzi wprawdzie jako współpartner kółek rolniczych do wspólnej organizacji, ale pozostaje przedsiębiorstwem państwowym, żerującym na rolnikach, uzyskującym od nich dochody, a nie dbającym o chłopskie interesy. Ponadto GZK i OR to nowy lokal i nowy szyld i nowy, dodatkowy sztab urzędników. Chłopi obawiają się, słusznie lub bezzasadnie, że SKR może ulegać zewnętrznym manipulacjom i w takim układzie znowu okaże się silniejsza od samorządu kółkowego.

Ale nie ten problem jest najistotniejszy. Nie te sprawy wywołały nastrój napięcia i niezadowolenia wsi. Przyczyniły się do tego błędy popełnione przez niektóre terenowe organa administracji, która nie zdążyła się wyzbyć starego sposobu myślenia. W obawie, że samorząd ograniczy władzę urzędników, w niektórych gminach nadal narzuca się przestarzałe formy życia społecznego. „Olimp" gminny stara się przekształcić zwykłe zebranie w uroczystą akademię, na której można przedstawić z góry dobranych kandydatów do samorządu, według własnego klucza i własnego uznania. Kiedy na zebranie kółka rolniczego w gminie Tuszyn przybył naczelnik, sekretarz partii, komendant MO, chłopi demonstracyjnie opuścili salę. Bo oni sami chcieli tworzyć samorząd. Chcieli wybrać swoich ludzi do swojego samorządu. Nie przemyślane kroki „świętych" gminy wywołały gniew i rozgoryczenie. Najbardziej smutnym i przykrym tego przykładem jest strajk głodowy rolników w kościele Św. Józefa w Świdnicy Niesmak i zawstydzenie budzi fakt, że rolnicy posunęli się do ostateczności tylko dlatego, że twardogłowi dyrektorzy SKR chcieli im przywieźć samorząd w teczce.

Prezes WZKR w Piotrkowie, inż. Jerzy Cybulski, stwierdza, że administracja powinna się cieszyć z partnerów, którzy mogą ją wyręczyć w działaniu. Przyznaje, że w województwie pojawiają się ogniwa „Solidarności Wiejskiej", ale też, że liczba ich członków stanowi znikomy procent ogółu członków pozostałych organizacji chłopskich. Nie ma co ukrywać, że tu i ówdzie do „Solidarności" wstępują sadownicy, ogrodnicy, hodowcy drobiu i zwierząt futerkowych, plantatorzy, lecz i chłopi średniorolni, a nawet chłoporobotnicy.

Prezesów martwi fakt, że w tym ruchu znaleźli się też najlepsi rolnicy, właściciele gospodarstw specjalistycznych. No cóż, gospodarstwa specjalistyczne miały otrzymać wszechstronną pomoc i szczególne preferencje. Ale naprawdę rozwinęły się i przetrwały tylko te najlepsze, nie stworzone na siłę. Ich właściciele budowali swoje warsztaty pracy z ogromnym trudem, spłacali kredyty, rozwijali produkcję i sami dostarczali płody rolne do punktów skupu, chociaż wszystko miało się odbierać z zagród. Oni produkowali, lecz państwo przestało się wywiązywać z umów kontraktacyjnych. Stąd też niewiara, nieufność i zniechęcenie, które wykorzystała nowa organizacja dla pozyskania zwolenników.

Ale w świetle prawa dla „Solidarności Wiejskiej" nie ma miejsca ani w ustawie o związkach zawodowych, ani w uchwale Rady Państwa o powoływaniu związków zawodowych. Być może jednak jakieś rozwiązanie znajdzie Sąd Najwyższy. W naszym ustroju, gdzie środki produkcji są limitowane, rolnik jest ściśle uzależniony od państwa. Jak każdy pracownik ma prawo do opieki lekarskiej, do rent i emerytur, a ponadto wykonuje coś w rodzaju pracy nakładczej, gdyż otrzymuje od państwa środki produkcji i w zamian w ramach kontraktacji dostarcza płody rolne. Taka interpretacja byłaby nawet do przyjęcia, gdyby nie fakt, że istnieją producenci, którzy nie zawierają z państwem żadnych umów. Są też tacy, którzy wchodzą do „Solidarności Wiejskiej", chociaż nie mają nic wspólnego ze wsią i z rolnictwem. Czy można jednak ten problem generalizować?

Nie stykam się na co dzień z byłymi obszarnikami, chociażby dlatego, że wywodzę się z najmarniejszej acz dumnej biedoty. Ale przed kilku laty, w małym gospodarstwie pod Łęczycą spotkałem człowieka niezwykłego. Był ubrany w drelich i gumiaki i akurat rozrzucał na polu obornik. Długo rozmawialiśmy. Powiedział mi, że nie może mieć żalu do surowych praw historii, której biegu nikt nie jest w stanie powstrzymać. Starał się też zapomnieć, że gdy wrócił do kraju, miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył czterdzieści kilo. Jego matka pochodzi z Radziwiłłów, a on sam nazywa się Hubert Lubomirski.

Rozmawiałem też wielokrotnie z Jerzym Czacklm, dyrektorem WOPR w Bratoszewicach. Wywodzi się z ziemiaństwa, ale wrogiem się nie wydaje. Można się tylko dziwić, że nie otrzymał dotąd Nagrody Miasta Łodzi za propagowanie nowoczesności w socjalistycznym rolnictwie.

Ostatnio o takich ludziach, a konkretnie o Pietraszewskich z Soboty, pisał na tych łamach Jacek Indelak. Przed dwudziestu laty jeździłem po Ziemiach Odzyskanych i mogłem stwierdzić, że tam, gdzie dyrektorem PGR był człowiek z przedwojennym wyższym wykształceniem rolniczym, gospodarstwo prosperowało całkiem nieźle, bez deficytu. Nie generalizujmy więc sprawy, bo świadomości społecznej i tak nie zmienimy. Ludzie są przekonani, że jeżeli ktoś próbuje zniweczyć nasze dążenia do odnowy, to może to być nieliczna garstka bankrutów politycznych, od których chłopi i robotnicy zdecydowanie się odcinają. Ci bankruci działają pewnie w ukryciu, bo na ulicy się ich nie spotyka.

Społeczeństwo jest zmęczone, ogarniają je uczucia mieszane, rozterka i zwątpienie. Ogromna większość ludzi jest za odnową, ale przeciwko anarchii i bezprawiu. Wielu rozumie gorycz poniżanych przez lata chłopów. Pesymiści martwią się, czy takie rozparcelowanie odradzającego się ruchu chłopskiego nie doprowadzi do jego osłabienia. Przewidują, że w takiej sytuacji ponownie górę weźmie biurokracja. Straci chłop, ucierpi rolnictwo i my wszyscy. Optymiści są zdania, że konkurencyjne związki chłopskie, połączone wspólnotą interesów, dadzą nam więcej chleba. Racje są obopólne, a prawda, jak zwykle, leży gdzieś pośrodku.

Ludzi w miastach niepokoi inna sprawa. Co będzie, jeśli metody działania „Solidarności" miejskiej przeniesie się na wieś? Co się stanie, gdy w sporach zacznie się nadużywać argumentów ostatecznych? Strajk na wsi to wstrzymanie dostaw artykułów spożywczych, które zmarnują się w zagrodach. Producentów uderzy to po kieszeni, ale nam wszystkim żołądki przyrosną do krzyża.

Lepiej o tym nie myśleć. Ale myśleć trzeba, i to jeszcze jak. A przede wszystkim działać, szybko, skutecznie i rozważnie. Ludzie wiele spodziewają się po nowym premierze, w tym także uregulowania spraw związkowych wsi. Bo, wbrew pozorom, to my wszyscy tęsknimy już za stabilizacją. Najwyższa pora, aby wreszcie ład i spokój powróciły do naszych miast i wsi, do każdego polskiego domu.

RYSZARD BINKOWSKI

O tym, że ziemia lubelska leży na węglu, wiedział już w latach trzydziestych profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, Jan Samsonowicz. Toteż szyb Nr 1 w Lubelskim Zagłębiu nazwano jego imieniem. Zaszczyt to wątpliwy, bowiem budowa tego szybu stanowi negatywny przykład prowadzenia robót górniczych, a kto wie, czy nie ilustrację stanu górnictwa w Polsce.

JERZY URBANKIEWICZ

KIEDY MINISTER JEST SZTYGAREM

Każdy, kto z zawodem tym związał swoją przyszłość, kto w nim zdobył trochę doświadczeń, wymieni bez namysłu jedną z naczelnych jego zasad: *górnictwo nie znosi fuszerki.* Pewien emerytowany sztygar z kopalni Sośnica na Śląsku powiedział mi kiedyś z żalem: „Bywało, że stary górnik powiado: panie kierowniku, idóm se tam ino obejrzeć tamten przekop. To jo go jechoł. On se mioł za zaszczyt, tak tam wszystko było elegansko, prosto wykónane..." W wypowiedziach górników podlubelskich słychać nutę goryczy: stać nas przecież na więcej, a dopiero teraz ujmujemy sprawy Zagłębia w swoje ręce, chociaż mógł stąd iść węgiel znacznie wcześniej.

Decyzje zapadły w połowie lat siedemdziesiątych, że węgiel na głębokości prawie tysiąca metrów? — To nie stanowiło problemu, ponieważ tak zwany decydent miał górnictwo wpisane w życiorys oraz był otoczony entuzjastami. W rzeczywistości tak znaczna głębokość ma zasadnicze znaczenie, zwłaszcza w początkach budowy kopalni. Społeczeństwo, czytelnicy gazet, wiedzą to i owo o tych górnikach, którzy wydobywają węgiel. Mają oni do dyspozycji maszyny, środki transportu, na święta narodowe i Barbórkę czapkę z pióropuszem i — fedrują. Mało się natomiast wie o tych, którzy dla tej masy górników eksploatujących złoża przygotowują wszystko, co jest konieczne, by do tego węgla dotarli. Są to tak zwani szybiarze, o których jeden z największych w Polsce znawców górnictwa prof. *Bolesław Krupiński* powiedział: *„Górnictwo nie jest nauką a sztuką, a w niej królami są szybiarze".* To zaś szczególne ich znaczenie stąd się bierze, że górnik pracujący na wyrobiskach poziomych ma do czynienia, poza jakimiś przypadkami wyjątkowymi, zawsze z taką samą sytuacją geologiczną. Natomiast szybiarz, drążący ziemię w poprzek złóż, natrafia wciąż na niespodzianki, wśród nich zaś do najbardziej niemiłych należy kurzawka. Ona właśnie stała się drugim (obok decydenta) bohaterem negatywnym Zagłębia.

W WIDŁACH WIEPRZA I ŚWINKI

Budowę jednej z dwóch kopalni zaplanowano koło miejscowości Bogdanka drugiej — w pobliżu Stefanowa. O Stefanowie (leżącym w województwie chełmskim) będzie czas pomówić, gdy nadejdzie sierpień 1980 roku. Natomiast na polach Bogdanki wyrosła pierwsza wieża owego szybu, który miał uczcić zasługi i pamięć Samsonowicza, i wieże następne. Specjaliści od wymyślania atrakcyjnych nazw określili to miejsce kryptonimem K1, rezerwując K2 dla Stefanowa, szybom zaś przypisali literę S z odpowiednim numerem. Ale o tym — potem. Kopalnia musi mieć zaplecze. Albo — jak twierdzą uczeni w piśmie, — na zapleczu inwestycji musi funkcjonować infrastruktura. Bełkot ten oznacza konieczność zbudowania osiedla górniczego, wyposażonego w to, co niezbędne. Gdyby ktoś się zastanawiał nad wyborem miejsca na osiedle i gdyby zdradzał objawy rozsądnego i uczciwego myślenia, wziąłby najprawdopodobniej pod uwagę jakość gleb w niedalekich miejscowościach. Najgorsze są w Rakowie, Rogóźnie, Kaniwoli i — jak sama nazwa wskazuje — w Piasecznie. Najlepsze — wokół Łęcznej. Pytanie za 50 złotych: gdzie zdecydowano się budować bloki dla górników? — Prawidłowa odpowiedź: Oczywiście w Łęcznej.

Łęczna — to dziś siedziba gminy, kiedyś — miasto. Miało w herbie czarnego dzika na żółto-zielonym polu, stąd zaś wiadomo, że nie wieś, gdyż sam *Długosz* określił je mianem *„oppidum"*. Nie mógł zaś o nim nie wspomnieć, bo w pobliżu miasta zbiegały się granice Litwy, Wołynia, Rusi i Małopolski, a zamek nad Wieprzem wzniesiono nie dla parady. Podupadło potem, a od zagłady i zapomnienia uratowały je jarmarki, którymi słynęło i z których żyło aż do ostatniej wojny. Zanim Łęczną zainteresował się rzeczony decydent, mający kiepskie kwalifikacje górnika, miasto przyciągało uwagę ludzi nieprzeciętnych, albo też w inny sposób z nazwiskami tych nieprzeciętnych się wiązało. Tak więc nie kto inny, a sam *Ignacy Krasicki* napisał w liście do *Stanisława Augusta Poniatowskiego:*

„Dalej jadąc,
Ukazała nam się zręczna
Na przemysły swoje Łęczna.
Ormiany, Greki i Żydzi.
Na to hasło — święty Idzi!
Zbiegają się hurmem ze wszystkich stron
i naówczas dokładnie się wydaje
Wsiom, miasteczkom, stolicom dosyć znana sztuka:
Jak kto kogo, w czem, kiedy odrwi i oszuka.

Już nie było jarmarku, gdym przejeżdżał. Obeszło się przeto bez kupna, to jest bez straty".

Wprawdzie forma tego wiersza dość swobodna, wprawdzie miejscami logika zawodzi (*„...jadąc, ukazała nam się... Łęczna"* — to według zasady. *„jadąc tramwajem, powstała awantura"*), ale fakt, że Książę Biskup Warmiński tu był i napisał, pozostaje faktem.

W roku 1803 *Norblin* namalował obraz pt. *„Foire de Lenczna"*. Otarło się więc miasteczko o poezję i malarstwo. Jeśli idzie o muzykę, sprawa nie została do końca wyjaśniona. Według *„Przewodnika po Polsce"* tu się urodził *Zygmunt Noskowski*, z czym się nie zgadza Wielka Encyklopedia Powszechna. Wreszcie łęcznianie twierdzą, że *Tadeusz Kościuszko* miał Łęcznę wpisaną do metryki jako miejsce urodzenia ale to już chyba przesada. Skarbnicą wiedzy o dziejach miasteczka, zwyczajem regionu i obyczajach jest emerytowana nauczycielka p. *Stefania Pawlak*. Niestety brak jej siły przebicia, nie ma więc gdzie publikować, a poza tym — wizja węgla i groźba kurzawki przysłaniają wszystko, a zwłaszcza kulturę.

W jednym rzędzie z *Krasickim, Norblinem, Noskowskim* i naczelnikiem *Kościuszką* zapragnął stanąć naczelnik miejscowej gminy. Zmienił nazwisko chłopskie na szlacheckie i wziął się za przerabianie gminy w metropolię.

PRAWO O OGRANICZENIU WŁASNOŚCI

Śledziłem przed laty przebieg bolesnej sprawy wywłaszczania gruntów dla potrzeb odkrywki bełchatowskiej. Stosunek ówczesnych łódzkich władz wojewódzkich, a także władz lokalnych był taki, że błyskawicznie wyjaśniono bardzo skomplikowane sprawy własności i robiono wszystko, by zmniejszyć uczucie krzywdy. Chłopi albo oddali ziemię za rentę, albo sprzedali, albo wymienili na inne gospodarstwa. Zapewne były jakieś sporadyczne przypadki konfliktów, ale nie trafiłem na takie. Dla odmiany w Łęcznej — regułą jest konflikt. Sprawę przedstawię w naświetleniu mieszkańców miasteczka. Poprosiłem wprawdzie o wyjaśnienia naczelnika, ale oświadczył mi, że nie jest przygotowany do rozmowy. Można by sądzić, że naczelnik gminy, który w ciągu kilku lat uczestniczy we wprowadzaniu zasadniczych zmian w urbanistycznym kształcie miasteczka, ma wszystkie sprawy, jak to się mówi, w małym palcu. Okazało się, że nie.

Choć wywłaszczenia pod Bełchatowem dotyczą wielu wsi, leżących na obszarze dawnych dwóch powiatów, to pomimo związanych z tym trudności uświadomiono wszystkich zainteresowanych o ich uprawnieniach i obowiązujących przepisach. W niewielkiej Łęcznej postanowiono nikogo nie rozpieszczać, a po prostu sprawę załatwić paroma zamordystycznymi posunięciami. Najpierw rozesłano zawiadomienia o ograniczeniu praw własności, a następnie wykonano dwa skuteczne choć niezbyt chwalebne posunięcia. Upatrzono teren rolniczy, na którym budynki były, jak tu mówią „kołkami podparte", a grunty nierzadko dzierżawione, lub użytkowane prawem kaduka i mieszkańcom tego terenu zaproponowano wykup gospodarstw po 13 — 14 złotych za metr kwadratowy. Posunięcie się udało, uzyskano teren pod pierwsze bloki. W drugim etapie zaczął się atak na zasiedziałych rolników i ogrodników, niechętnych nadciągającym zmianom, gdyż mają za dużo do stracenia. Tym zaproponowano cenę po 8 zł za metr, żeby zaś ich zmiękczyć, zaczęto realizować prawo o ograniczeniu własności. Póki śnieg zalegał ziemię bielą niepokalaną, pies z kulawą nogą nie pojawił się na polach. Kiedy natomiast wiosną ruszyły oziminy, zaterkotały ciągniki, spychacze, ciężarówki i poszły po runi, wiercąc, kopiąc, ryjąc. Nieszczęśni producenci żywności złapali się za głowy i poczęli interweniować u władzy terenowej. Naczelnik, wiedząc, że już się nie zakopie wykopanego, zwołał wtedy zebranie informacyjne i wybił im z głów jakiekolwiek myśli o sprzeciwie.

Jeżeli mówi się w tym kraju o utracie zaufania obywateli do władzy, to naczelnik gminy Łęczna ma w tym swój wielki udział. Jeżeli komuś zniszczono zasiewy, wyceniono straty zbyt nisko i się odwołał, wtedy przyjeżdżał inny ekspert i ocenił jeszcze niżej. Kolejna interwencja groziła dalszym obniżeniem odszkodowania. Jeśli pokrzywdzony zwracał się z tym do naczelnika, to się dowiadywał, że sieje zamęt, i że się nim zajmie prokurator. Rolnicy łęczniańscy, nie mogąc się doczekać ludzkiego stosunku do swoich spraw w Łęcznej ani Lublinie, napisali petycję do ministra i z tym pojechali do Warszawy. Jeden z tych, który tam jeździł, powiedział mi potem: *„Minister poprosił, żebyśmy usiedli. A kiedy się przychodzi do naszego naczelnika, to rozmawia w sekretariacie, na stojąco".*

Tak się rodzi nowa, górnicza Łęczna. Ale coś nie wygląda na to, żeby nowe nazwisko naczelnika gminy miało być wymienione jednym tchem z nazwiskami tych wielkich, którzy mieli z tym miasteczkiem coś wspólnego

MINISTER — SZTYGAREM

Kurzawka jest to mieszanina wody i drobniutkiego piasku. Po to, żeby poprzez nią wydrążyć szyb, trzeba ją zamrozić. Na ogół zanim się przystąpi do głębienia, geologowie dokonują próbnych wierceń, których wyniki z dużą dokładnością informują o układzie warstw tektonicznych. Tu również wywiad geologiczny ustalił, przez co się trzeba będzie przedostać, by dotrzeć do węgla, i z danych tego wywiadu wynikało, że od głębokości 585 metrów do 588 jest podziemne jezioro kurzawki. W zasadzie nie było to odkrycie zbyt niepokojące. Górnicy budujący w Polsce szyby spotykali się z tym zjawiskiem i dawali sobie rady. Na przykład przy budowie kopalni miedzi w Lubinie napotykano kurzawkę na głębokości około 450 m. W takich razach newralgiczne miejsce się zamraża. Wokół szybu wierci się kilkadziesiąt otworów sięgających poniżej kurzawki, do otworów tych opuszcza się przewody i za ich pośrednictwem inicjuje obieg cieczy chłodzącej. W ten sposób wokół szybu powstaje jakby cylinder lodu, po przejściu poza miejsce niebezpieczne obudowuje się szyb odpowiednio mocną obudową, licząc na to, że kiedy zmarzlina odtaje, woda będzie już miała dojście do szybu zamknięte.

I w zasadzie tak zrobiono. Nie liczono się tylko z tym, że kurzawka zalega wyjątkowo głęboko, że jej ciśnienie na obudowę jest ogromne, oraz że szyb ma mieć więcej niż 900 metrów głębokości. Przede wszystkim nie liczyło się z tym zjednoczenie ani ministerstwo. — *Towarzysze, potrzeba nam węgla! Na Barbórkę dacie? — Damy! Pomożemy!* I zaczął się okres rekordów. Rekordy zaś, zwłaszcza w górnictwie, mają to do siebie, że udaremniają solidność roboty, preferując szybkość. W górnictwie polskim ojcem tandetnej roboty był w latach 40 *Wincenty Pstrowski*, który wzorem *Stachanowa* bił pokazowe rekordy. Stanowiły przedmiot reklamy, a w ślad za *Pstrowskim* szły brygady, doprowadzające wyrobisko do porządku i je umacniające, o czym się nie mówiło. Rekordy w szybie Nr 1 w Bogdance dały sporo pieniędzy górnikom z mysłowickiego przedsiębiorstwa tam pracującego, ale spowodowały, że obudowa szybu była zbyt słaba i w pewnym momencie kurzawka znalazła sobie miejsce, które przerwała, wytrysnęła i poczęła zalewać szyb.

I wtedy, po szaleństwie rekordowego drążenia zaczęło się szaleństwo nieudolnej a kosztownej walki z żywiołem. Dlatego nazwałem to szaleństwem, że w wykonywaniu robót trudnych głos decydujący winni mieć fachowcy. W danym przypadku — inżynierowie, technicy, górnicy, ci, którzy nie bacząc na grożące niebezpieczeństwa, na wodę z piaskiem lejącą się na głowy, jeżdżą tam, ten kilometr w dół i znają każdy metr obudowy i znają środki zaradcze. W Bogdance nie oni decydowali o przebiegu, jakości i sposobach. Dyrektywy przychodziły z gabinetów w zjednoczeniu i ministerstwie. Górnicy innych okręgów śmiali się z lubelskich, że u nich minister był sztygarem.

A takie amatorskie sterowanie z daleka jest bardzo kosztowne i czasochłone. Co się robi w przypadku przerwania się kurzawki? — Ona sama zamula szyb na znacznej długości, powyżej zas miejsca wypływu leje się beton, by stworzyć gigantyczny korek zamykający zatopioną część szybu. Następnie usuwa się wieżę i znów wierci otwory, by ponownie zamrozić to trudne miejsce. Nie trzeba nikogo przekonywać, ze koszty takich operacji idą w miliardy, a w szybie, który miał sławić *Samsonowicza*, historia się powtórzyła. Po zamrożeniu poczęto go głębić na nowo i nastąpił ponowny wylew kurzawki i potem jeszcze jeden. Dziś szyb stoi zakorkowany gdzieś w połowie swojej długości i czeka na dalsze decyzje.

Na kopalnię składa się system kilku szybów połączonych ze sobą poziomo i każdy z nich pełni jakąś rolę. Kiedy zaczęły się komplikacje z *„jedynką"* (szyb Nr 1), przyśpieszono prace na *„dwójce"*. Rozumowano tak. Przejdzie się *„jedynkę"* byle jak i szybko, jednocześnie zbuduje *„dwójkę"* przez *„dwójkę"* pójdzie węgiel, a wtedy będzie czas, by połatać *„jedynkę"*. Po zalaniu *„jedynki"* przejścia pomiędzy dwoma tymi szybami pozamykano tamami. Jednocześnie zbudowano Nr 4, a następnie Nr 3. *„Czwórkę"* budowano już nie tylko siłami ale również głowami górników lubelskich. Stanowi ona ich dumę.

W tej chwili sytuację w Lubelskm Zagłębiu Węglowym można scharakteryzować tak. *„Jedynka"* — zakorkowana. Prowadzi się roboty mające na celu połączenie dołem *„dwójki"* z *„czwórką"*. Prace nad głębieniem *„trójki"* zatrzymały się w okolicach kurzawki

PNIOKI I PTOKI

W Lubelskim Zagłębiu Węglowym niewątpliwie nie powtórzono błędów charakterystycznych dla niektórych „wielkich budów", na których prymitywizm mieszkania i bytowania tworzył żałosną legendę pijanego pionierstwa. Tu normalne bloki i hotele górnicze powstały stosunkowo szybko i dzisiejsze osiedle w Łęcznej nosi wszelkie cechy w miarę dobrze zorganizowanego miasteczka. A nastąpiła też integracja mieszkańców, początkowo bardzo niejednolitych.

Trzon stanowią rdzenni łęcznianie, którzy z racji tej swojej zasiedziałości nazywają siebie *„pniokami"*, a widzą w innych — przelotnych *„ptoków"*. Już sam ten podział, tkwiący głęboko w ich psychice nie sprzyja integracji. Poza tym zaś i w łęczniańskiej społeczności *„pniaków"* jest pewien margines nie kochających pracy młodych ludzi, nazywanych przez górników *„niebieskimi"*. Z kolei społeczność górnicza również nie pojawiła się w Łęcznej jako monolit. Obok doświadczonych górników przybyłych z innych okręgów przyjechali młodzi adepci zawodu, którym obce były górnicze tradycje i górniczy honor. I oto w tej zróżnicowanej, a stykającej się na małej przestrzeni społeczności poczęły się rodzić konflikty i awantury. *„Niebiescy"* prowokawali górników, a zwykle robili to metodą nieskomplikowaną. *„Te, górnik, postaw piwo..." — „A bo to ja znam ciebie?.."* i wystarczyło. Było szereg przypadków napaści i bójek. *„Pnioki"* widzieli w przybyszach przyczynę swoich kłopotów, poza tym zaś — górników, zwłaszcza tych młodych, nie wychowywano w salonach. Zdarzało się więc, że któryś poszedł do cudzego sadu na jabłka albo do ogrodu po pomidory.

Ale czas dział na rzecz integracji. Początkowo matki zabraniały córkom kontaktów z górnikami. Ale daremnie. Po pierwsze — młodość kieruje się swoimi prawami. Po drugie — górnik to przeciez niezła partia. Jest więc dziś w Łęcznej kilkadziesiąt małżeństw zawartych pomiędzy górnikami a *„pniaczkami"*. Z tych zaś i innych powodów pięć lat życia w jednej społeczności złagodziło różnice i dziś można już mówić o jednej szybko konsolidującej się społeczności

WIĘC CO Z TYM WĘGLEM?

W planach Lubelskiego Zagłębia Węglowego obok K1 w Bogdance przewidziano też K2 w Stefanowie, i dalsze kopalnie W tę drugą, w Stefanowie zainwestowano już sporo pieniędzy, wykonano bowiem wiele robót przygotowawczych takich, jak przeprowadzenie linii energetycznej, oraz zainstalowanie szeregu urządzeń powierzchniowych, niezbędnych do rozpoczęcia głębienia. Prace te wykonał liczący kilkaset osób zespół ludzi Wszycy oni podjęli decyzję związania życia z tym zagłębiem. To znaczy pozbyli się mieszkań w poprzednich miejscach pobytu, wzięli na siebie niewygody tymczasowości, niektórzy po okresach wahań i poszukiwań, uznali, że tu nastąpiła stabilizacja ich życiowych spraw. I oto na przełomie sierpnia i września 1980 niefortunni decydenci, chcąc zmniejszyć ilość kosztownych kłopotów, w jakie wpędzili górnictwo i górników, wydali kolejne nie przemyślane zarządzenie: zaniechać budowy kopalni Nr 2 w Adamowie. Decyzja oznaczała zamrożenie wielkich sum zainwestowanych w K2, oznaczała też postawienie kilkuset górników (podobno 700) w sytuacji bankrutów

W tym czasie powstał NSZZ „Solidarność" i wziął na siebie trud takiego posterowania sprawami Przedsiębiorstwa Robót Górniczych, by poniesione koszty nie poszły na marne oraz, by ochronione zostały interesy górników. Delegacja „Solidarności" z jej przewodniczącym *Januszem Andrzejkiewiczem* na czele udała się we wrześniu do Zjednoczenia Przemysłu Węglowego w Katowicach i wystąpiła z szeregiem żądań, na naczelnym miejscu których była konieczność kontynuowania robót w obu kopalniach oraz zaniechanie redukcji górników. Zgodnie z nagminnie praktykowaną zasadą sprzeciwu aż do wywołania spięcia, zjednoczenie oparło się żądaniom. Wówczas 17 podległych mu przedsiębiorstw ogłosiło strajk okupacyjny, który trwał 29 dni. W czasie rozmów *Janusz Andrzejkiewicz* zadał stronie zjednoczeniowo-rządowej pytanie: gdzie się podziała suma 400 milionów marek, jaką rząd pożyczył za granicą na budowę Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Odpowiedzi nie udzielono.

W porozumieniu ustalono m. in. że budowa kopalń K1 i K2 będzie kontynuowana, górników zwalniać się nie będzie, a jedynie do czasu uporządkowania spraw budowy będą oddelegowywani na okresy 6-tygodniowe na Śląsk.

Janusz Andrzejkiewicz uważa, że Przedsiębiorstwo Robót Górniczych dysponuje w tej chwili tak dobrym zespołem górników i nadzoru, że narosłe trudności mogą być stosunkowo szybko przezwyciężone, a lubelski węgiel może w jakimś stopniu uzupełnić braki w energetyce. Pod warunkiem oczywiście, że o sposobie budowy kopalń decydować będzie tutejszy inżynier, tutejszy sztygar, nie zaś minister ani dyrektor zza biurka. Dowód, że nie jest to teoria stanowi szyb Nr 4 w Nadrybiu, przy budowie którego siły miejscowe wywalczyły sobie prawo podejmowania decyzji. Z szybu tego górnictwo polskie może być dumne.

A węgiel?

Jak wspomniałem, pomiędzy *„czwórką"* a *„dwójką"* rozpoczęto roboty poziome, zmierzające do połączenia tych dwóch szybów. Roboty te idą częściowo po węglu. Nie jest to jeszcze eksploatacja, tylko jej w jakimś sensie przygotowanie. Ale widok wypełnionej węglem ciężarówki od czasu do czasu opuszczającej teren kopalni stanowi nareszcie moment optymistyczny.

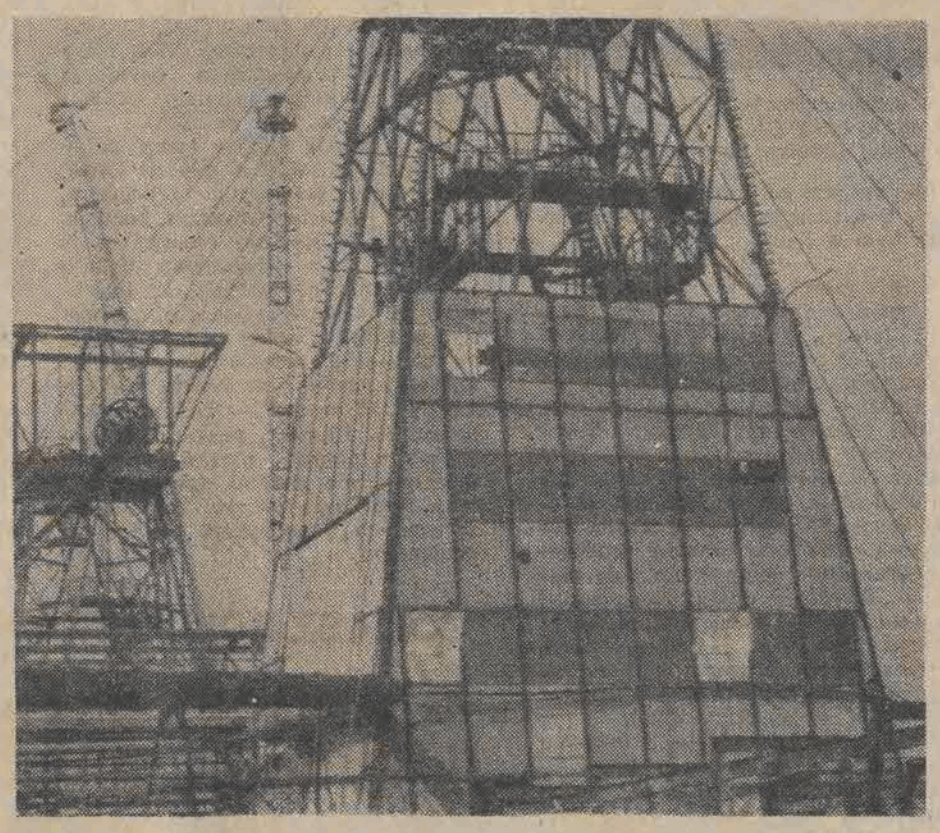

Foto: J. Wilanowski

Od lewej: Konrad W. Tatarowski (UŁ) — przewodniczący obradom w dniu 3 lutego oraz Marek Perliński (UŁ), Wojciech Walczak (UŁ) i Piotr Kociołek (PŁ.) — członkowie prezydium Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej.

W sobotę, 7 lutego wieczorem ktoś ze Studenckiego Komitetu Jedności zagadnął mnie w korytarzu:

— *Czy wiesz, że dzisiaj przegonimy strajk w Stoczni Gdańskiej?*

Liczę na palcach. Rachunek zgadza się: zaczyna się dziewiętnasta noc. Ale gdy w Stoczni osiemnastego dnia podpisano porozumienie i zakończono strajk, tu, na Uniwersytecie Łódzkim, o którym już wiadomo, że będzie „STOCZNIĄ STUDENTÓW", właśnie zawiesza się rozmowy, ledwo co wznowione...

Od chwili, gdy w „Odgłosach" opisywałem początek protestu: „Solidarne Czekanie" i pierwsze rozmowy z władzami do podjęcia strajku — urósł nowy stos notatek, komunikatów, powielaczowych gazetek... I coraz trudniej poruszać się w tym labiryncie dat, faktów, domysłów, sprzecznych interpretacji. Nawet temu, kto na ponad miesiąc wyłączył się z innych zajęć i uparcie wędruje w zaklętym kręgu studenckiego protestu, coraz bardziej upodabniając się do bohaterów swych relacji, dzieląc z nimi w końcu i zmęczenie i niepewność, i niecierpliwość czekania.

Czy musiało to trwać aż tak długo? Czy niemożliwe było wcześniejsze porozumienie?

Możliwe — jeśli przypomni się wszystkie „gdyby...", wszystkie pojawiające się po drodze potencjalne możliwości rozwiązania, sprzyjające okoliczności, z których jednak nie skorzystano.

Niemożliwe — jeżeli pamięta się o społeczno-politycznym kontekście przełomu stycznia i lutego. O tym, że strajk w Łodzi był tylko częścią ogólnopolskiego wykresu napięć. Ze potwierdził wcześniejsze oceny stylu pracy poprzedniego rządu: opieszałego w realizowaniu społecznych umów i reagowaniu na nowe niepokoje. Strajk musiał trwać tak długo, bo — podobnie jak w innych wypadkach — nie doceniono powagi sytuacji i nie umiano zapobiec w porę rozszerzeniu się protestu. Postawa ministra, całej międzyresortowej komisji była zbyt widocznie funkcją szybko zmieniającej się sytuacji w kraju i u steru władzy, dowodem tej samej chwiejności i bezradności, która cechowała inne poczynania rządu.

Niemożliwe — także dlatego — że zbyt długo trwało życie w gorsecie. Na mającej opinię „spokojnej" uczelni gotowość protestu kumulowała się trzy miesiące. Wystarczająco długo, choć przecież ten strajk — wbrew temu co mówią niektórzy — nie był zaplanowany wcześniej. Ale kiedy po takim czekaniu rusza machina strajkowa, to rozkręca się gwałtownie i prędko, a jej bieg nie jest bynajmniej ruchem po prostej. Im zaś później, tym trudniej jest ją zatrzymać. Tak było w Łodzi.

1

Strajk zaczął się w środę, 21 stycznia wieczorem (patrz „Odgłosy" nr 5 z 1 lutego). Trzy dni czekali studenci na reakcję ministerstwa. Czwartego dnia — w niedzielę, 25 stycznia — dociera do nich list min. Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki prof. Janusza Górskiego. Były rektor UŁ zaadresował go jednak nie do studentów, ale do obecnego rektora. Studencki Komitet Jedności nie ukrywa zdziwienia brakiem propozycji skierowanej bezpośrednio do niego. *„Rozmowy miały być przecież prowadzone ze studentami, a nie z władzami uczelni"* — przypomina. Jedyną ofertą zawartą w liście — spotkania w MNSZWiT — odrzuca (jedno już było, 12 stycznia).

Poza tym były rektor, któremu *„szczególnie leży na sercu dobro uczelni"*, zapewnia o swym *„dużym zaniepokojeniu i serdecznej trosce"*, ale studenci przyjmują to spokojnie: woleliby czynu. Patetyczne deklaracje wkrótce zdemistyfikuje życie, odsłaniając inną twarz autora.

Czas gra na jego niekorzyść: nie zażegnany w zarodku protest w ciągu kolejnych dni rozszerza się... 24 stycznia wybucha strajk solidarnościowy w łódzkiej Akademii Medycznej, 27 — w Politechnice. Rozpoczęte tego samego dnia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej „Solidarne Czekanie" 3 lutego przekształci się w strajk. Podobnie jak 10 lutego w filii Politechniki Łódzkiej w Bielsku-Białej, gdzie od 30 stycznia trwała gotowość strajkowa. W sumie w Łodzi okupowanych będzie na przełomie stycznia i lutego 15 budynków (9 uniwersytetu łącznie z filią w Zgierzu). Napływać będzie do nich coraz więcej studentów — ostatecznie blisko 10 tysięcy, (w tym na UŁ — ok. 5 tys.) Towarzyszyć im będzie wielu pracowników, zwłaszcza z młodej kadry naukowo-dydaktycznej. Część z nich — jak na Wydziale Filologicznym czy Ekonomiczno-Socjologicznym — podejmie „Solidarne Czekanie".

Już w pierwszych dniach strajk przestaje być sprawą lokalną. Z wielu ośrodków akademickich, organizacji i instytucji napływają solidarnościowe oświadczenia. Akcję popiera uczelniana „Solidarność", a wkrótce i MKZ Ziemi Łódzkiej, organizując pomoc żywnościową i materialną. 2 lutego nadchodzą życzenia i pozdrowienia od Lecha Wałęsy i gdańskiego MKZ, wsparte 50 tys. złotych. Następnego dnia po proklamowaniu strajku swoje stanowisko określa Komitet Uczelniany PZPR. *„Uważamy* — stwierdza KU PZPR — *że podjęte przez studentów działania kierowane są szlachetnymi pobudkami i chęcią aktywnego włączenia się do wprowadzania pozytywnych przemian w kraju (...) Zgłoszone postulaty stanowią wartościową próbę wyrażania tych dążeń i dlatego zasługują na wnikliwe rozpatrzenie".* Podobny duch mają oświadczenia Uczelnianego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego, Związku Nauczycielstwa Polskiego.

25 stycznia powstaje Międzyuczelniana Komisja Porozumiewawcza, złożona z przedstawicieli UŁ i AM, a później także PŁ i PWSM. Poszerzona o obserwatorów z innych ośrodków MKP uznana zostanie — mimo początkowych kontrowersji z Ogólnopolskim Komitetem Założycielskim NZS — za ciało wystarczająco reprezentatywne i kompetentne dla wyrażania interesów ogółu studentów i walki o realizację postulatów obowiązujących dla całej Polski, wszystkich uczelni i organizacji NZS, które pośpieszyły z poparciem (podobnie zresztą jak szereg instancji SZSP i Rada Naczelna tego związku).

Mijają jednak kolejne trzy dni — od powstania MKP — gdy do Łodzi, poprzedzony prasowymi wywiadami, nadciąga minister Górski z komisją. W środę, 28 stycznia uczestniczy w nadzwyczajnym posiedzeniu Senatu UŁ. Minister nie ukrywa, że interesuje go stanowisko Senatu. *„Resort ufa uczelni", „mamy pełne zaufanie do ciał samorządowych", „nie było wypadku, żeby głos Senatu nie był wzięty pod uwagę"* — podkreśla kilkakrotnie. Niestety, poza przydługim exposé ministra i paroma ważnymi merytorycznie głosami, dyskusję zajmuje uściślanie wielu formalności związanych z podjęciem rozmów ze studentami.

nego, który — mając obligujące go moralne poparcie młodzieży — czynnie występuje do władz, osobiście popierając żądania studentów, nawet jeśli wymaga to przekroczenia przepisów i obyczajów parlamentarnych (których istnieniem prof. Górski tłumaczył swoją niemożność wyjścia poza samo tylko przesłanie postulatu, czy ogólną deklarację. Ta — dość delikatna kwestia — wystąpiła szczególnie przy omawianiu tzw. postulatów ogólnospołecznych, z których część wymagała — zdaniem studentów — osobistego poparcia ministra, owej obywatelskiej inicjatywy (żądania powołania komisji sejmowej dla zbadania odpowiedzialności winnych tłumienia protestów robotniczych w grudniu 1970 i czerwcu 1976 r.). W bardziej ostrej formie wyraził to jeden ze studenckich ekspertów, mówiąc o konieczności wyboru między „taktyką", a „zajęciem miejsca na czele odnowy" (co byłoby równoznaczne ze zdobyciem moralnego poparcia środowiska). Minister jednak — nie ulegając tym sugestiom — akcentował raczej swoje dotychczasowe działania „dla odnowy" w ramach resortu.

— *Osobiście uważam* — stwierdził — *że nasz resort wcześniej przystąpił do realizacji procesu odnowy i posuwa się stale w tych pracach. Może moglibyśmy iść szybciej, ale stoją nam na przeszkodzie normy legislacyjne.* Stwierdzenia te prof. Górski popierał przykładami konkretnych posunięć, torujących drogę ku samorządności i autonomii uczelni. A więc np. proces przedłużania pochopnie skróconych studiów zaczął się już 3 lata temu; radom wydziałów nadano swobodę w ustalaniu programów, miejsca ministerialne i rektorskie zlikwidowano w ub. roku itd. itp.

I mogłoby to wszystko być przedmiotem rzeczowej dyskusji, przy zachowaniu tolerancji dla obu różnych spojrzeń na odnowę, gdyby nie narzucony przez ministra styl pertraktacji, podważający siłę przekonywania nawet najbardziej — wydawałoby się — racjonalnych i uzasadnionych argumentów.

— *W zakresie autonomii i samorządności uczelni sporów nie będzie, bo wasze postulaty są wyważaniem otwartych drzwi* — oświadczył już na wstępie minister Górski, ale był to jeszcze „szczyt elegancji" w porównaniu z tym, co studenci (w liczbie kilku tysięcy, rozmowy bowiem nagrywano na taśmę magnetofonową i magnetowid) usłyszeli później. Wiele wręcz humorystycznych „złotych myśli", nieodpowiedzialnych stwierdzeń i impertynencji trafiło potem na rozlepiane w okupowanych budynkach afisze i do powielanych gazetek strajkowych (kilka próbek, żeby nie być gołosłownym: *„chcieć to wy se możecie, ale studenci nie są pępkami świata"; „Strajki nie szkodzą rządowi, rząd je przetrzyma", „Niech dziesięciu panów nie mówi o całym środowisku"* itd.). Natomiast publiczne protesty i kolejną falę oświadczeń — wywołały zniekształcające intencje i obraz studenckiego strajku wywiady ministra w Tv, sprawiające wrażenie, jakby rzeczywiście chodziło tutaj jedynie o wybryk niedorosłej młodzieży.

Te — wcale nie marginalne — okoliczności, które zaciążyły nad przebiegiem i klimatem obrad (ale nie osłabiły, przeciwnie — wzmocniły jedność strajkujących) nie mogą jednak przesłonić istotnych różnic merytorycznych, dzielących przez wiele dni i nocy trudnych, nerwowych negocjacji obie strony. Wywoływały one — szczególnie w kwestiach kilku najważniejszych dla studentów postulatów — wielogodzinne, ciągnące się meandrami i dygresjami, nie zawsze kontrolowane również przez studentów dyskusje. Przypomniały one nieraz seminaria akademickie; kulejące argumenty zastępowano w nich emocjami, a konstruktywne wnioski roztapiały się w dywagacjach. Wytrzymałem do końca niejedną z nich i jestem przekonany, że również i te fragmenty strajku przyczyniły się do jego przewleczenia. Inna rzecz, że w miarę upływu czasu poziom argumentacji wyraźnie wzrósł,

2

Kilka punktów wzbudziło szczególnie wiele kontrowersji Pierwszy dotyczył sposobu i programu nauczania przedmiotów społecznych, zwanych szerzej — humanizującymi. W pierwszej części „Buntu półproduktów" relacjonowałem przebieg dyskusji nad tym postulatem. Brak satysfakcjonującego studentów rozwiązania w tym punkcie stał się właśnie bezpośrednim zarzewiem strajku. Zarówno przedstawiciele ministerstwa, jak i studenci zgodni byli co do tego, że student powinien dysponować przynajmniej minimum wiedzy o prawach rządzących gospodarką i procesami społecznymi. Różnica polegała na tym, że zdaniem studentów, widzących w dotychczasowych sposobach przekazywania tej wiedzy próby indoktrynacji, powinien być zagwarantowany swobodny wybór przedmiotów spośród bloków zajęć ekonomicznych, filozoficznych, społeczno-politycznych itd. zgodnie z profilem studiów i zainteresowaniami. Nie chodziło więc o „zamach" na te przedmioty, usunięcie ich z uczelni, jak to — upraszczając — interpretowali niektórzy, ani o negowanie metody marksistowskiej w nauczaniu. Komisja Międzyresortowa uznała w końcu propozycję studentów, przekazując decyzje w sprawach doboru, sekwencji i treści programowych tych przedmiotów w gestię rad wydziałów, zgodnie z zasadą pełnej samorządności uczelni.

Jeszcze dłużej nie opuszczało „protokołu rozbieżności" żądanie wyboru lektoratów, przeciwstawione imperatywowi kontynuowania nauki języków rozpoczętych w szkole (tłumaczonemu potrzebą zapewnienia efektywności nauki, która jednak — jak dotąd — mocno kulała, oraz „ekonomiką kształcenia").

— *My także jesteśmy za kontynuacją języków, ale student powinien móc wybierać sobie tylko jeden ze „starych", drugi zaś — dobierać nowy* — wyjaśniali przedstawiciele MPK. Dyskusja mniej lub bardziej otwarcie toczyła się wokół „drażliwej" kwestii obligatoryjności języka rosyjskiego, ale wielu mówcom towarzyszyła świadomość, iż zniesienie obowiązku nauki tego języka wcale nie spowoduje jego likwidacji, w dalszym ciągu bowiem wiele młodzieży (ze względu na wygodną bliskość i względną łatwość jego nauki, czy potrzeby pracy naukowej) pozostanie przy nim. Jednocześnie sami studenci podkreślali, że zniesienie nakazu zachęci do lepszej nauki języka, zwłaszcza jeśli towarzyszyć temu będzie wzrost poziomu nauczania, ściślejsze dostosowanie programu do profilu studiów, czy specjalizacji.

Postulat ten — przesadnie akcentowany w różnych oficjalnych wystąpieniach — znalazł się też na sześciopunktowej liście najważniejszych rozbieżności, których usunięcie — w opinii zgromadzonych na wiecach studentów — stało się warunkiem podpisania porozumienia. Dopiero w czwartym tygodniu strajku, a trzecim negocjacji doszło do zgodności w tym punkcie. „(...) *Rady Wydziałów kierując się specyfiką kierunku studiów oraz możliwościami dydaktycznymi, kadrowymi i materialnymi zalecą studentom naukę dwóch lub więcej języków obcych najbardziej przydatnych dla danego kierunku studiów w ramach obowiązującego lektoratu. Studenci mają prawo do swobodnego wyboru co najmniej dwóch języków...*" — brzmi ostateczny zapis w tej kontrowersyjnej kwestii.

I w jeszcze jednym miejscu rozluźnił się ciasny gorset studenckich obowiązków. Studenci — powołując się ratyfikowaną przez Polskę konwencją nr 29 MOP, gdzie mówi się o nie dopuszczaniu do form pracy obowiązkowej i przymusowej — zażądali zniesienia studenckich praktyk robotniczych.

Targi trwały długo, upadały kolejne argumenty: wychowawcze, ekonomiczne... W końcu resort zmiękł: obiecał likwidację SPR-ów, ale od przyszłego roku (część bowiem umów z zakładami pracy na 1981 r. zdążono już zawrzeć). Dlatego postulat trafił jednak również na sześciopunktową listę „żelaznych warunków". Wynik wieców był jednoznaczny: znieść SPR-y od zaraz! Do końca maja br. minister zobowiązał się zatem uzyskać uchylenie Uchwały Rady Ministrów. Ponieważ jednocześnie studenci nie odcięli się przecież od pracy, podczas studiów, w tekście Porozumienia znalazł się zapis o propozycjach *„innych form odpłatnej dobrowolnej pracy fizycznej"*, tudzież apel Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej do studentów *„o podejmowanie dobrowolnej odpłatnej pracy fizycznej na rzecz gospodarki narodowej", „ze względu na aktualną sytuację"*.

Sprawy szkolenia wojskowego, z którymi również mocowano się niemal do końca, złożyły się na czteropunktowy, rozbudowany o dodatkowe podpunkty system postulatów. Najdalej idący z nich i najtwardszy do

TOMASZ SOLDENHOFF

BUNT PÓŁPRODUKTÓW (II)

Anna Wróbel — wicedyrektor departamentu w MNSzWiT i prof. dr hab. Janusz Górski — minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki, przewodniczący Komisji Międzyresortowej — na sali obrad.

zgryzienia (praktycznie niemożliwy do zgryzienia od zaraz) brzmiał: *„Żądamy zmiany zasady odbywania zajęć wojskowych oraz zmiany rodzaju i czasu trwania przeszkolenia wojskowego po ukończeniu studiów w wymiarze 4 godzin tygodniowo w ciągu dwóch lat i trzy miesiące przeszkolenia wojskowego po studiach (mężczyźni)"*. Minister Górski stwierdził w momencie zniecierpliwienia wywołanego uporem studentów, że *„nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by strajkiem wymuszano cokolwiek w organizacji systemu obronnego kraju"*.

Lecz nawet jeśli za tym stwierdzeniem stoi bardzo poważna racja, nie sposób odmawiać młodzieży wpływu i na ten obszar życia. Możliwość takiego wpływu — poprzez zarządy główne organizacji studenckich — na kształt projektu rozporządzenia MON o szkoleniu wojskowym studentów zapewniło im porozumienie, tak aby w pracach *„nad dalszym doskonaleniem przyjętych obecnie zasad i form"* wzięte zostały pod uwagę nie tylko potrzeby obronne kraju, ale *„interes osobisty"* studentów oraz absolwentów. Nie zapomni się przy tym o konsultacji i informacji.

3

Oprócz tych postulatów najwięcej namiętności, ale i wątpliwości i nieporozumień, wywoływały tzw. postulaty ogólnospołeczne. Część obserwatorów — zwłaszcza z grona tych, którzy nie uczestniczyli w obradach (może szkoda) — ujrzała w ich obecności na liście studenckich żądań dowód *„próby manipulowania młodzieżą przez siły antysocjalistyczne"*. Czytając te wypowiedzi można by odnieść wrażenie, że ich autorzy — w swej źle zrozumianej „trosce" o *„naiwną, niedojrzałą, podatną na niebezpieczne wpływy młodzież"* — radziby odebrać jej w ogóle prawo do zgłaszania własnego, obywatelskiego zdania o trudnych i ważnych sprawach życia społecznego i politycznego...

Tymczasem — tak jak oświadczyła w swym komunikacie Międzyuczelniana Komisja Porozumiewawcza — potraktowano te postulaty jako *„gwarancje nurtu odnowy i realizacji postulatów szczegółowych"*, a ich lista — podobnie jak innych postulatów — wbrew temu, co stwierdzano z różnych, nawet wysokich trybun, była starsza niż strajk. Większość tzw. postulatów ogólnospołecznych można odnaleźć na liście postulatów ogólnokrajowych, opracowanych w oparciu o głosy studentów różnych wydziałów UŁ przez Studencki Komitet Jedności jeszcze w początkach stycznia — przed oraz w trakcie „Solidarnego Czekania". W formie 13-punktowej listy postulaty te przedstawiono władzom uczelni na spotkaniu 10 stycznia gdzie jednak nie negocjowano ich; natomiast 12 stycznia delegacja studentów zawiozła je do MNSzWiT — obok pozostałych postulatów — uzyskując zapewnienie, że również staną się one przedmiotem pertraktacji.

Rozszerzenie listy o postulaty ogólnospołeczne było jednym z warunków zakończenia pierwszego strajku na UŁ — na Wydziale Matematyczno-Fizyczno-Chemicznym 11 stycznia br. W lutym za równorzędnym potraktowaniem tych postulatów wypowiedzieli się m.in. w specjalnych oświadczeniach studenci Wydziału Budownictwa i Architektury oraz Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej Politechniki Łódzkiej, a także członkowie Socjalistycznego Związku Studentów Polskich — strajkujący studenci Wydziału Prawa i Administracji UŁ. Napisali oni w swym oświadczeniu z 10 lutego: *„Trwająca od kilku dni fala strajków studenckich w Łodzi nie była i nie jest inspirowana przez siły antysocjalistyczne ani przez tzw. „skrajne skrzydło „Solidarności", lecz stanowi wyraz naszego zniecierpliwienia zbyt opieszałą realizacją procesu odnowy w naszym kraju i naszych uczelniach. Należy podkreślić, iż protestacyjna akcja studentów zyskała poparcie m.in. KU PZPR UŁ, Rady Naczelnej SZSP; instancji SZSP w innych ośrodkach akademickich, a także społeczeństwa Łodzi (...) Żądamy, aby głos studentów Łodzi został należycie wysłuchany"*. Studenci PŁ dodali: *„Pamiętajmy, że jesteśmy Polakami i pełnoprawnymi obywatelami PRL*, zaś studenci prawa zrzeszeni w NZS przypomnieli:

„...punkty te dotyczą gwarancji praworządności, sprawiedliwości i są zgodne z kierunkiem odnowy w PRL. Uważamy, że realizacja postulatów uczelnianych nie będzie możliwa bez demokratyzacji życia społecznego w całym kraju".

Szereg postulatów ogólnospołecznych wysuniętych przez studentów nie jest zresztą niczym nowym. Np. postulat w sprawie ograniczenia zakresu cenzury zawarty jest w Porozumieniu Gdańskim. Z kolei postulat brzmiący: *„Żądamy ujawnienia i pociągnięcia do odpowiedzialności wszystkich winnych brutalnego tłumienia protestów robotniczych w grudniu 1970 r. i czerwcu 1976 r."* zbieżny jest z opinią sformułowaną w grudniu ub. roku w dokumencie pn. *„Wspólne stanowisko uczelnianych organizacji partyjnych uniwersytetów"*, gdzie w punkcie 7 można przeczytać: *„Rozliczenie powinno dotyczyć również odpowiedzialności za wydarzenia 1970 i 76 roku, a w szczególności za użycie siły i stosowanie represji w stosunku do robotników (...) Wyniki rozliczenia z odpowiedzialności politycznej powinny zostać przedstawione na Zjeździe. Odpowiedzialnością karną za działania przestępcze powinny zająć się prokuratura i wymiar sprawiedliwości"*.

Ale listę postulatów ogólnospołecznych poparły nie tylko środowiska akademickie. 29 stycznia br. Prezydium MKZ NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej złożyło *„oświadczenie w sprawie strajku studentów"*, w którym *„gorąco dziękuje studentom za poparcie wysuwanych również przez nasz Związek postulatów ogólnospołecznych"*. — *„Wasze moralne poparcie dla tych postulatów — dodało jeszcze Prezydium MKZ — ma ogromne znaczenie dla całego społeczeństwa polskiego"*.

4

Wrócę teraz do przebiegu strajku Pierwsza tura rozmów, podjęta — jak już napisałem — 29 stycznia i trwająca do 31 dotyczyła spraw strukturalnych uczelni, dydaktyczno-naukowych, programowych, budżetu, pomocy materialnej. Pozostały po tych pertraktacjach dwa protokoły, dłuższy o stronę objął niestety wyłącznie rozbieżności. W tym protokole znalazł się również jedyny postulat z listy ogólnospołecznych, który zdążono wstępnie przydyskutować na koniec pierwszej tury. Dotyczył on rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Problem ten — mimo osiągniętych uzgodnień — miał wrócić później, a nawet zaważyć nad atmosferą strajku w jego ostatniej fazie — gdy gotowy był już tekst porozumienia. Ale też mało kto podejrzewał wcześniej — mając w pamięci deklaracje min. Górskiego o osobistym poparciu dla rejestracji NZS „aż do skutku" i jego akceptację dla całego statutu Zrzeszenia bez zmian — że dojdzie do sytuacji, w której od treści statutu zależeć będzie podpisanie porozumienia i zakończenie strajku.

Nim jednak do tego doszło — trwały negocjacje. Po przerwie wznowiono je 3 lutego, w atmosferze pozornie tylko — jak się wkrótce okaże — lepszej, rozładowanej wyjaśnieniem nieporozumień, związanych zwłaszcza z — budzącym oburzenie — sposobem komentowania przez min. Górskiego wydarzeń strajkowych w prasie i telewizji. Rozpoczętą 3 lutego dyskusję skończono 7 — w klimacie dużo gorszym, niż ten, w którym — po przerwie — ją zaczynano. W międzyczasie bowiem min. Górski usztywnił swoje stanowisko w kwestii wyboru przedmiotów humanizujących, odrzucił też postulat likwidacji SPR-ów. Wróciwszy z Warszawy, odstąpił również od zamiaru przesłania do Rady Państwa wniosku MKP o uwolnienie — ze względów humanitarnych — braci Kowalczyków (którzy w 1971 r. spowodowali wybuch, w wyniku którego zniszczona została aula WSP w Opolu) — *„z uwagi na charakter czynu przestępczego"*. Odmówił również udzielenia poparcia wnioskowi MKP o powołanie sejmowej komisji (o czym pisałem wyżej). W dyskusji nie udało się również zlikwidować innych rozbieżności; spotęgowała ona natomiast rosnące z dnia na dzień zmęczenie, którego już nikt nie ukrywał.

Nastąpiła także różnica w ocenie przyczyn kolejnego impasu. Zdaniem ministra wiele spraw spornych związanych z uczelnią zostało rozstrzygniętych, zbyt wiele czasu natomiast zajmowały postulaty ogólnospołeczne. Z kolei studenci — głosem przewodniczącego obradom członka MKP Marka Perlińskiego (UŁ, SZSP) — zarzucili komisji celowe przewlekanie rozmów poprzez uleganie płynącym „z góry" sprzecznym instrukcjom. Było to w sobotę 7 lutego; za dwa dni miało obradować w Warszawie VIII Plenum KC PZPR. Zbliżała się również dwudniowa sesja Sejmu. W działaniach Komisji Międzyresortowej było coraz mniej szczerości i dobrej woli, coraz więcej zaś — taktyki.

W ten sposób odczuli to studenci, a Marek Perliński w oświadczeniu MKP powiedział m.in.:

— *Ważą się racje sztywnej i dążącej do zachowania siebie władzy, racje tych, którzy są rządem...* Wkrótce życie miało potwierdzić słuszność tej diagnozy.

5

Kolejny — czwarty — tydzień strajku okupacyjnego przyniósł nowe okoliczności, które sprawom dziejącym się na łódzkich uczelniach nadały nowy, jeszcze szerszy kontekst. Łódzki strajk został wpisany w wykres napięć w środowiskach studenckich, przebiegających przez kraj od Gliwic po Szczecin, od Wrocławia po Gdańsk.

W niedzielę 8 lutego — nazajutrz po zawieszeniu rozmów — Ogólnopolski Komitet Założycielski NZS zaapelował do wszystkich organizacji NZS w kraju o wprowadzenie stanu gotowości strajkowej, solidarne poparcie łódzkich studentów przy jednoczesnym nie wysuwaniu dalszych, lokalnych żądań.

W poniedziałek — 9 lutego — zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią — rozpoczyna się strajk w Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. W południe w trzech budynkach UAM strajkuje już 1500 osób. Strajkujący wysuwają nie tylko hasła solidarnościowe ze studentami Łodzi. Żądają również zarejestrowania „Solidarności Wiejskiej" i rehabilitacji wszystkich dotkniętych represjami w marcu 1968 r."

Tego samego dnia wieczorem strajk proklamuje NZS Akademii Medycznej w Warszawie. Następnego — także dla zamanifestowania solidarności z Łodzią — staje filia PŁ w Bielsku Białej. Na Uniwersytecie Warszawskim ogłoszona zostaje gotowość strajkowa. Podobnie jest na wielu innych uczelniach.

Nieoczekiwanie 9 lutego wieczorem zjawia się w Łodzi minister Janusz Górski, mimo iż ze względu na Plenum KC PZPR zapowiedział wcześniej nieobecność. Ma nowe propozycje, które po części wynikają również z konsultacji ze środowiskiem naukowo-dydaktycznym Łodzi. Od sobotniego posiedzenia Senatu UŁ istnieje również wreszcie sprecyzowane w najbardziej spornych kwestiach stanowisko najwyższej władzy uczelni. Senat podpowiada rozwiązanie spraw: szkolenia wojskowego, studenckich praktyk robotniczych, wyboru przedmiotów humanizujących i lektoratów po myśli studentów.

Nowe, kompromisowe propozycje stają się podstawą roboczego tekstu Porozumienia, które w nocy z wtorku 10 na środę 11 lutego jest przedmiotem długich konsultacji MKP ze wszystkimi strajkującymi środowiskami studenckimi Łodzi W wyniku konsultacji wyłania się lista sześciu warunków, bez spełnienia których niemożliwe jest zakończenie strajku. Dotyczą one spraw lektoratów, praktyk robotniczych, wojska, rejestracji NZS, zezwalania na paszport oraz cenzury wewnątrzuczelnianej wydawnictw. W środę 11 i w czwartek 12 trwają robocze dyskusje nad uzgodnieniem tych spornych punktów. Przeciągnięte do piątku 13 lutego dyskusje dotyczyły również niektórych sformułowań w preambule oraz zakończeniu tekstu. M.in. studenci domagali się sformułowania gwarantującego uczelniom pluralizm światopoglądowy; nie sfinalizowano także spraw szkolenia wojskowego oraz kwestii gwarancji bezpieczeństwa dla strajkujących studentów, pracowników i ekspertów.

Również w piątek w Warszawie min. Górski spotkał się z ministrami i rektorami 90 szkół wyższych w związku z oczekiwanym w sobotę, 14 lutego aktem rejestracji NZS. Minister przychylił się do propozycji dwu zmian w tekście statutu, łamiąc w ten sposób daną wcześniej studentom obietnicę, iż będzie popierał tekst bez żadnych poprawek. Pierwsza zmiana ma polegać na umieszczeniu na początku statutu stwierdzenia, że działalność NZS opierać się będzie na zasadach zgodnych z Konstytucją

Druga kwestia jest bardziej złożona. Wniosek dotyczy statutowego ograniczenia możliwości strajku. Dotychczasowy projekt mówi, że ta ostateczna forma protestu może być podjęta na mocy decyzji uczelnianego zarządu NZS. Minister proponuje trzy warunki: za strajkiem musi — w formie referendum — opowiedzieć się co najmniej 50 proc ogółu studentów; strajk powinien być ogłoszony np. na 7 dni przed rozpoczęciem (aby dać czas rektorowi na załatwienie postulatów i wyczerpanie innych środków np. negocjacji); powinien też być poprzedzony inną formą protestu (np. strajkiem ostrzegawczym).

W nocy z soboty na niedzielę 14/15 trwały negocjacje nad tymi sprawami. Setki studentów oczekiwały na ich zakończenie wierząc, że stanie się ono jednocześnie finałem strajku. Ale — choć usunięto inne wątpliwości — sprawa statutu NZS do piątej nad ranem nie została uzgodniona. W niedzielę członkowie Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NZS udali się do stolicy na konsultacje z resztą OKZ. Na godzinę piętnastą zaplanowano podjęcie rozmów i podpisanie porozumienia.

Następują dwie dramatyczne godziny. Na rozpoczęcie spotkania obu komisji czekają studenci, pracownicy, przedstawiciele prasy. Tymczasem mija pół godziny, godzina... Pięć minut po szesnastej zniecierpliwiony czekaniem min. Górski na czele komisji wchodzi na salę obrad. W chwilę potem — nie śpiesząc się — zajmuje swoje miejsca studencka komisja. MKP prosi ministra o zwłokę *„do około godziny dwudziestej"*, tłumacząc to koniecznością zaczekania na przybycie delegacji OKZ NZS, która pół godziny wcześniej wyjechała z Warszawy po konsultacjach w sprawie poprawek do statutu, z decyzją, która — jak podkreślają członkowie MKP — *„powinna usatysfakcjonować wszystkich"*. Treści tej decyzji nie chce jednak ujawnić ani MKP ani jedyny obecny na sali obrad członek OKZ NZS. Minister zaś nakłania do podpisania porozumienia, nie chce dłużej czekać. Napięcie skacze gwałtownie, porozumienie wisi na włosku. Minister deklaruje wolę rejestracji NZS jeszcze tego samego dnia z chwilą powrotu delegacji OKZ, po wprowadzeniu do preambuły statutu stwierdzenia o poszanowaniu zasad Konstytucji, a do paragrafu o strajkach — zobowiązania NZS o opracowaniu w ciągu 20 dni szczegółowego regulaminu, dotyczącego trybu i sposobu proklamowania strajków (stanowiłby on aneks do statutu). Nic więc nie stoi na przeszkodzie podpisaniu porozumienia w chwili obecnej, jeszcze tego samego dnia wieczorem rozmowy na temat statutu będzie kontynuować wyposażony w pełnomocnictwo uprawniające do rejestracji NZS wiceminister St. Czajka.

— *Nie odmawiamy studentom prawa do strajku* — podkreśla minister. — *Jesteśmy w tym względzie najbardziej liberalnym krajem świata... Podpiszmy porozumienie, zostawiając sprawę rejestracji w protokole rozbieżności. Jeżeli wieczorne rozmowy doprowadzą do uzgodnienia stanowisk, dołączymy do porozumienia aneks anulujący tę rozbieżność.*

Studenci, pogrążeni przez cały czas w gorączkowych naradach, odmawiają. MKP nie czuje się upoważniona do występowania w imieniu OKZ NZS. Poza tym OKZ ma być jednym z gwarantów porozumienia. Podpisanie bez obecności jego delegacji może być zrozumiane jako nielojalność. Gdyby do tego doszło, MKP nie będzie miała wpływu na zapowiedziane od następnego dnia strajki w innych uczelniach (zapowiedziano je w 12), które będą mogły trwać aż do rejestracji NZS. W takiej sytuacji gwarantem porozumienia nie mogłaby również zostać Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność", (która zadeklarowała taką wolę), nie mogąc zaangażować swojego autorytetu w strajki. Minister informuje, że roli gwaranta podjęła się także sejmowa Komisja Szkolnictwa Wyższego.

Propozycję poprzestania na parafowaniu umowy minister odrzuca. — Albo teraz, albo jutro! Czeka jednak na wynik rozmowy telefonicznej przewodniczącego MKZ NSZZ „Solidarność' Ziemi Łódzkiej. Studenci w tym czasie zapewniają: — *Nasze stanowisko jest już sprecyzowane, czekamy tylko na gwaranta.*

Nie doczekawszy powrotu A. Słowika o 17,15 minister wstaje i oświadcza: *Czekamy jutro w resorcie!* W parę minut później opuszcza budynek.

Nie sposób opisać tych nerwowych dyskusji i gorączkowych spekulacji, jakie opanowały strajkujących studentów.

W tej sytuacji łatwo było o pośpieszne i ryzykowne oceny działania OKZ NZS. Przyczyny spóźnienia i motywy postępowania OKZ wyjaśniano jednak strajkującym studentom w czasie wiecu, który odbył się po północy. Okazało się, że spóźnienie nastąpiło z powodów od delegacji OKZ niezależnych (defekt samochodu). Członkowie OKZ NSZ wysunęli także kilka istotnych argumentów, stawiających w innym świetle owe dwie dramatyczne godziny w czasie których nie doszło do podpisania porozumienia. Nie ulega wątpliwości, że minister Górski złamał wcześniejsze przyrzeczenie, iż będzie popierał „aż do skutku" wersję statutu przedłożoną pierwotnie. Po naradzie z rektorami decyzję tę zmienił, uzależniając podpisanie porozumienia od przyjęcia przez OKZ NZS zaproponowanych zmian. Nie pozostawił też studentom więcej czasu na konsultację i przemyślenie decyzji. Dalej, mimo prób naciskania na podpisanie porozumienia tłumaczonych niemożnością czekania. Po opuszczeniu budynku udał się do rektoratu, gdzie pozostawał aż do północy. Zgodnie z obietnicą w budynku Filologicznego miał jednak pozostać wiceminister Stanisław Czajka, który miał oczekiwać na delegację OKZ NZS i prowadzić dalsze rozmowy. Według zapewnień min. Górskiego wiceminister posiadałby pełnomocnictwo zarejestrowania NZS. Wkrótce po przybyciu delegacji OKZ (w pół godziny po wyjeździe ministra), ekspert studentów doc. dr Chrzanowski zatelefonował do rektoratu, informując ministra o stanowisku OKZ. Studenci zgodzili się na umieszczenie w aneksie do statutu stwierdzenia, że Zrzeszenie będzie działać zgodnie z duchem Konstytucji i Paktu Praw Człowieka i Obywatela. Natomiast regulamin strajkowy miał zostać opracowany w ciągu 20 dni i włączony jako poprawka do wcześniejszego rozporządzenia ministra NSzWiT w sprawie organizacji studenckich.

Zapoznawszy się z tą propozycją min Górki nie zgodził się jednak na pertraktowanie z delegacją OKZ NZS, lecz z MKP poszerzoną o dwóch przedstawicieli OKZ Takiej formuły jednak studenci nie mogli przyjąć, toteż przekazali ministrowi swoje stanowisko na piśmie przez dwóch nie upoważnionych do negocjacji wysłanników. Około północy min. Górki opuścił Łódź, nie podejmując zerwanych przez siebie rozmów. Zdążył jednak jeszcze złożyć informację do dziennika radiowego, że studenci nie chcieli z nim rozmawiać.

Nie wszystkie jednak te fakty znalazły odzwierciedlenie w opisujących moment zerwania rozmów, relacjach Tv i notatkach prasowych, które ukazały się następnego dnia. Autorów niektórych studenci oskarżyli o przeinaczanie faktów i stosując metodę odpowiedzialności zbiorowej — zabronili wstępu przedstawicielom środków masowego przekazu na teren strajku. Na 17 lutego MKP zwołała jednak konferencję prasową. Reprezentująca Biuro Prasowe Marzena Rybicka poinformowała dziennikarzy o stanowisku studentów. Zwróciła ona uwagę na fakt, iż minister opuścił salę obrad w momencie, gdy studenci poinformowali go, że mają już sprecyzowane stanowisko w spornej kwestii. Chcieli wszakże zaczekać na powrót i wyniki telefonicznej rozmowy przewodniczącego MKZ NSZZ „Solidarność" Andrzeja Słowika z członkiem KKP „Solidarności" prof. Gieremkiem. KKP miała bowiem wystąpić w roli gwaranta porozumienia.

Nie zarejestrowawszy NZS do 16 lutego min. Górski przekroczył ostateczny — zgodnie z KPA — termin tego aktu. Fakt braku rejestracji i nie podpisania porozumienia zaostrzył sytuację na wielu polskich uczelniach. 16 lutego strajk okupacyjny ogłosiło pięć uczelni krakowskich: UJ, AGH, ASP, AR i Akad. Ekon., do których 17 lutego miała przyłączyć się AM, a od 19 bm Politechnika.

W Poznaniu do już strajkującego Uniwersytetu od 19 lutego przyłączyć miała się Akademia Medyczna. Na 17 lutego zapowiedziały strajk wszystkie uczelnie wrocławskie. Strajk proklamowała też rzeczowska WSP. Szereg inych uczelni.: w Lublinie, Gdańsku, Toruniu, Szczecinie, Opolu Gliwicach, Olsztynie, Bydgoszczy ogłosiło gotowość strajkową, zapowiadając strajk w najbliższych dniach. 16 lutego na listę dotąd czterech strajkujących uczelni Łodzi dopisała się Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych. Kiedy wieczorem — w pierwszych godzinach strajku — odwiedziłem PWSSP, panował tu spokój i porządek. O prowadzonych pracach organizacyjnych w ramach komitetu strajkowego poinformował mnie szef uczelnianego NZS Zbigniew Koszałkowski. Opracowany został system rotacji strajkujących. Ich liczba nie miała jednak przekroczyć stu (ze względu na panujące w PWSSP warunki higieniczne).

16 lutego w nocy do Warszawy udała się delegacja Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej z zamiarem spotkania się z premierem Wojciechem Jaruzelskim. Następnego dnia reprezentujący MPK Marek Perliński i Wojciech Walczak spotkali się z wicepremierem

Mieczysławem F. Rakowskim. W czasie tej wizyty w RM ministrowie Stanisław Ciosek i Janusz Górski przedstawili stanowisko rządu. Pod wpływem interwencji wicepremiera minister Janusz Górski wydał decyzję o zarejestrowaniu NZS. Do projektu statutu została wniesiona autopoprawka zgodnie z którą paragraf 2 statutu otrzymał brzmienie: „Zrzeszenie w swej działalności opiera się na Konstytucji PRL i ratyfikowanych konwencjach międzynarodowych". Jednocześnie reprezentanci OKZ NZS podpisali oświadczenie, w którym zakceptowali propozycję ministra przygotowania przez resort projektu nowelizacji rozporządzenia „w sprawie organizacji studenckich", której przedmiotem będzie unormowanie problematyki strajków studenckich (..) wzorowane na postanowieniach statutu NSZZ „Solidarność", z tym, że proklamowanie strajku okupacyjnego zostanie uwarunkowane zaakceptowaniem go przez większość studentów uczestniczących w zgromadzeniu zwołanym w tym celu przez organizację studencką w porozumieniu z władzami uczelni. Przed dokonaniem nowelizacji projekt rozporządzenia zostanie uzgodniony z NZS. Zrzeszenie zobowiązuje ustosunkować się do projektu w terminie 5 dni od daty jego otrzymania i dążyć do jego uzgodnienia w terminie 20 dni" (za PAP).

Gdy w środę 18 lutego rano — tuż przed oddaniem tej relacji do druku — odwiedziłem strajkujących studentów, znany był już także termin spotkania w celu podpisania porozumienia.. Zgodnie z życzeniem studentów miało to nastąpić w Łodzi W środę 18 lutego o godzinie piętnastej — w czterdziestym czwartym dniu, akcji protestacyjnej na Uniwersytecie Łódzkim, dwudziestym ósmym dniu studenckiego strajku...

Do momentu tego i oceny ostatnich wydarzeń wrócę niebawem.

OD REDAKCJI. Powyżej przedstawiliśmy scenariusz wydarzeń raczej ze „studenckiego" punktu widzenia. W następnym numerze zrelacjonujemy stanowisko drugiej strony, przedstawimy także rolę, jaką odegrały władze miasta podczas negocjacji.

Z OSTATNIEJ CHWILI:

Godz. 17.25 — porozumienie podpisane!

Fot. Ryszard Łucyszyn

NIE BĘDZIEMY DUSIĆ ADMINISTRACJI

Wśród wielu trudnych spraw do załatwienia jedna dotyczy samorządu robotniczego, albo — jak chcą tego inni — samorządu pracowniczego. Potrzeba powołania samorządu wynika z życia, z dotychczasowych, złych doświadczeń. Jeśli przedsiębiorstwo ma mieć samodzielność, a mieć ją musi, to musi też mieć samorząd, poprzez który załoga będzie tę samodzielność realizowała. Tak zresztą zakłada również planowana reforma gospodarcza. Tylko, że reforma jest w projekcie, nad którym żywo się dyskutuje, a życie zmusza już do decyzji. Trzeba przyjąć plan na 1981 roku, określić warunki jego realizacji. Trzeba podzielić fundusz zakładowy. Kto to ma zrobić, skoro KSR nie jest akceptowana przez część załogi, a w tym i przez zakładowe organizacje „Solidarności"? Jak więc wyjść z impasu, bo wyjść trzeba. Postępuje się w różny sposób. W Fabryce Osprzętu Samochodowego „Polmo" w Łodzi powołano do życia Tymczasową Radę Pracowniczą. Ale, jak nazwa tej rady wskazuje, jest to rozwiązanie tymczasowe. Co dalej?

Zapytaliśmy o to zainteresowanych. W dyskusji udział wzięli:

— ZENON FRĄCZEK — przedstawiciel Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego,
— MAREK KLIŻEWSKI — przedstawiciel ZSMP,
— JÓZEF KLUSKA — przedstawiciel „Solidarności",
— JANUSZ LESIEWICZ — przedstawiciel „Solidarności",
— KAROL PAWŁOWSKI — przedstawiciel NZZ „Metalowiec",
— PAWEŁ STRUCKI — przedstawiciel SIMP,
— WIESŁAW WALCZAK — I sekretarz KZ PZPR,
— JERZY WOJTYLAK — przedstawiciel „Solidarności",
— MARIAN ZWIERZYŃSKI — zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych.

WIESŁAW WALCZAK: — Pracujemy nad projektem przyszłej Rady Pracowniczej, ale jakoś nie mieliśmy do tej pory okazji, aby zebrać się i nad tym wszystkim podyskutować. To jest właściwie pierwsza taka okazja. I dobrze, że tak się stało. Z tego, co się do tej pory luźno mówiło o pracach nad projektem regulaminu przyszłej Rady Pracowniczej niezbicie wynika, że występują dwie tendencje. Pierwsza — to Radę Pracowniczą mają stanowić tylko wybrani przez załogę jej reprezentanci, druga — mają to być wybrani w swoich organizacjach przedstawiciele tych organizacji.

JÓZEF KLUSKA: — My w „Solidarności" wychodzimy z takiego założenia: pracownicy mają uczestniczyć w zarządzaniu przedsiębiorstwem przez swoich wybranych przedstawicieli. Jest to najwyższe ciało przedstawicielskie. Taki swego rodzaju fabryczny sejm. Jego zadaniem jest podejmowanie uchwał ukierunkowujących pracę administracji, a następnie oceniający tę pracę. Z tego też powodu administracja nie powinna wchodzić do Rady Pracowniczej. Kadra kierownicza w stosunku do Rady Pracowniczej pełni funkcje wykonawcze. Rada Pracownicza spełnia funkcje inicjatywne, opiniodawcze i kontrolne. To tak w skrócie.

Dla uzupełnienie dodam jeszcze tylko, że powinno się wybierać do Rady Pracowniczej w stosunku 1 przedstawiciel na 50 zatrudnionych, ale każdy istotny wydział fabryki musi być w Radzie Pracowniczej reprezentowany. Natomiast przedstawiciele administracji i organizacji działających w zakładzie powinni stanowić swego rodzaju ciało doradcze. Obecna Tymczasowa Rada Pracownicza, w której są przedstawiciele różnych organizacji, mogłaby stanowić zalążek przyszłego zespołu doradców.

WIESŁAW WALCZAK: — Podejdźmy do tej sprawy z innej strony. Co stanowi błąd w funkcjonowaniu KSR? Przede wszystkim to, że nikt nie miał własnego zdania, a wszyscy na wszystko zgadzali się, co zostało zaproponowane. Stąd bierze się też moje zastrzeżenie, a może raczej obawa, czy demokratycznie wybrani przedstawiciele załogi będą reprezentowali poglądy wyborców, czy własne? Jeśli tylko własne, to znów może dojść do niebezpiecznej jednomyślności, z której nic nie będzie dobrego wynikało.

Zastanawiam się nad tym, jak zapewnić różnorodność poglądów? I dochodzę do wniosku, że byłoby to możliwe, gdyby w skład Rady Pracowniczej wchodzili wybrani przedstawiciele poszczególnych organizacji. Dlaczego tak uważam? Dlatego, że każda organizacja, patrząc na sprawy zakładu z innego punktu widzenia, musi mieć inny pogląd. Skoro więc będą te organizacje miały różne poglądy i ich przedstawiciele będą te poglądy reprezentowali, to wtedy będzie podstawa do dyskusji i będzie możliwość wybrania najlepszego rozwiązania. Na przykład inaczej na daną sprawę spojrzy „Solidarność", inaczej PTE, inaczej NZZ „Metalowiec". I już są różne punkty widzenia i już jest możliwość wyboru najlepszego rozwiązania czy nawet najkorzystniejszego kompromisu.

JANUSZ LESIEWICZ: — Też nad tym dyskutowaliśmy. Też zastanawialiśmy się, czy ludzie z wyboru będą się mogli we wszystkim orientować. I doszliśmy do wniosku, że przedstawiciele poszczególnych organizacji powinni uczestniczyć w Radzie Pracowniczej na zasadzie doradców, bez prawa głosu. Niech prezentują swoje zdanie, ale decyzja powinna należeć do członków Rady Pracowniczej wybranych przez załogę. Oni, wysłuchując doradców, muszą wyrobić sobie swoje zdanie na dany temat.

PAWEŁ STRUCKI: — W tej chwili udział „Solidarności" w pracach samorządu bardzo różnie wygląda w różnych zakładach pracy. W naszej Tymczasowej Radzie Pracowniczej przedstawiciele „Solidarności" biorą udział, bo reprezentują większość załogi i czynią to z pożytkiem dla całej załogi. Czy to źle?

WIESŁAW WALCZAK: — Mnie często pytają: a co u was w Tymczasowej Radzie Pracowniczej robią przedstawiciele administracji? Co to za Rada Pracownicza, jeśli tam są ludzie z dyrekcji? Mnie te pytania dziwią. Przecież przedstawiciele administracji też mają swój pogląd na pracę zakładu. Oni często lepiej znają cele stawiane przed nami przez jednostki nadrzędne, na przykład przez zjednoczenie. Ich pogląd też powinien być rozważany przez przedstawicieli załogi.

JERZY WOJTYLAK: — Nasze propozycje nie zmierzają do tego, aby ich z pracy Rady Pracowniczej eliminowawać. Dyrekcja ma obowiązek przedstawić swoje stanowisko, ale decyzja należy do załogi.

KAROL PAWŁOWSKI: — Do wybranych przedstawicieli załogi. Zaufaniem ma się obdarzyć najlepszych, a ci są przecież w różnych organizacjach. Będą je też reprezentowali. Ale może się zdarzyć, że wybory tak się potoczą, że małe organizacje nie znajdą swych przedstawicieli w Radzie Pracowniczej. Czy to będzie wtedy korzystne dla pracy zakładu?

JÓZEF KLUSKA: — „Solidarność" w Radzie Pracowniczej powinna funkcjonować też jako ciało doradcze. Stawiamy sobie zadanie, aby tak działać, żeby zakład osiągał jak najlepsze wyniki ekonomiczne. I taka jest rola Rady Pracowniczej. Nie ma więc sprzeczności między „Solidarnością" a Radą Pracowniczą w ich dążeniach.

JERZY WOJTYLAK: — Wrócę jeszcze do spraw administracji. Chciałbym poruszyć kwestię wotum zaufania. Załoga musi wiedzieć, z kim pracuje i czy do tych, którzy nią kierują ma rzeczywiste zaufanie. Jak ktoś z kierowników nie cieszy się zaufaniem załogi, to trudno z nim pracować. To jedna sprawa.

Z drugiej strony nie chcemy niczego dyrekcji narzucać, ale chyba Rada Pracownicza ma prawo zapoznać się z kandydatem na kierownicze stanowisko, zorientować się, co kandydat sobą reprezentuje, zastanowić się ,czy zdobędzie zaufanie załogi. To są warunki dobrej współpracy między przełożonymi i podwładnymi.

WIESŁAW WALCZAK: — Cel mamy przecież wspólny, bo wychodzimy ze wspólnego założenia, że od tego, jak zakład będzie funkcjonował zależy egzystencja każdego z nas. Szukamy tylko najlepszego rozwiązania. I o to się spieramy.

Doszliśmy przecież do wniosku, że nim nie będzie aktu normatywnego, ustawy o samorządzie robotniczym, do tej pory musi działać Tymczasowa Rada Pracownicza. Powołana na zasadzie reprezentacji poszczególnych organizacji .Praktyka dowodzi, że jest to możliwe, bo Tymczasowa Rada Pracownicza działa z pożytkiem.

KAROL PAWŁOWSKI: — Ustawa też za nas wszystkiego nie rozwiąże.

JERZY WOJTYLAK: — To bardzo ważne, żeby ustawa nie stanowiła o wszystkim, żeby tylko kreśliła ramy działania samorządu. Bałbym się również różnych wzorcowych rozwiązań, które miałyby obowiązywać we wszystkich zakładach „Polmo".

JÓZEF KLUSKA: — Rozwiązania muszą dokonywać się na dole i od dołu iść ku górze.

WIESŁAW WALCZAK: — Przed powołaniem Tymczasowej Rady Pracowniczej przejrzeliśmy różne dokumenty na temat samorządu robotniczego, sięgnęliśmy nawet do ustawy z 1957 roku. I doszliśmy do wniosku, że dziś potrzeba zupełnie innych ram prawnych. Nowa ustawa o samorządzie robotniczym powinna określać status prawny samorządu: za co samorząd odpowiada, do czego jest upoważniony, jakie ma obowiązki. Jaką będzie miał strukturę i jakie przyjmie formy działania, to powinno być wewnętrzną sprawą samego zakładu. U nas na przykład jest 2 500 pracowników. W innej fabryce 5 000, a jeszcze w innej 500 osób. Każdy więc zakład musi sam rozwiązać problem samorządu w oparciu o prawnie nakreślony status.

Ale wróćmy do sprawy przedstawicielstwa. Dlaczego upieram się przy przedstawicielstwie organizacji, a nie poszczególnych ludzi? Dlatego, że według mnie Rada Pracownicza powinna być platformą porozumienia się w najżywotniejszych sprawach załogi. A skoro tak, to musi być zagwarantowana możliwość prezentowania różnych stanowisk i odpowiedzialności za decyzje.

Mówicie: niech przedstawiciele organizacji będą doradcami, niech prezentują zdanie swoich organizacji, a wybieralni członkowie Rady Pracowniczej będą na tej podstawie podejmowali decyzje. Dobrze. Załóżmy, że tak jest. To przecież wtedy każdy doradca może zasugerować coś, za co później nie będzie brał odpowiedzialności. Mnie chodzi o to, żeby stanowisko organizacji w danej sprawie połączyć z kwestią odpowiedzialności.

PAWEŁ STRUCKI: — Dla mnie mniej istotne jest, czy organizacje będą tak, czy inaczej reprezentowane. W końcu w wyniku wyborów członków do Rady Pracowniczej znajdą się w niej przedstawiciele różnych organizacji, a przynajmniej tych większych. Będą w Radzie Pracowniczej bez wątpienia i członkowie partii, i „Solidarności", i „Metalowca', i SIMP, chyba i PTE. Według mnie w Radzie Pracowniczej powinni obowiązkowo być też przedstawiciele administracji zakładu.

MARIAN ZWIERZYŃSKI: — Chciałbym wprowadzić do dyskusji inne nieco elementy. Zakład nasz ma charakter przedsiębiorstwa kooperacyjnego. Produkujemy mniej niż wynosi zapotrzebowanie na części do samochodów. Nie musimy bić się o rynek. Ma to swoje dobre strony i ma złe. Nie tylko dla dyrekcji, ale i dla samorządu.

Samorząd przede wszystkim musi znajdować najlepsze warianty realizacji zadań. Trzeba pamiętać, że fabryka daje ludziom możliwość zarabiania. A zarobki będą zależały od tego, jak się będziemy umieli gospodarzyć. Trzeba zatem wybrać taki wariant struktury samorządu, aby jak najlepiej spełniał te zadania.

I druga sprawa. Ocena kadry kierowniczej. To jest bardzo ważne. Efekty gospodarowania zależą też — i to w dużej mierze — od umiejętności kierowania, od umiejętności organizacyjnych. Trzeba więc na każdego człowieka patrzeć z wszystkich stron, dokładnie mu się przyjrzeć i właściwie ocenić. To jest bardzo ważne zadanie samorządu i musi być rzetelnie spełniane.

Mieliśmy już wzory: samorządu z lat pięćdziesiątych i KSR. Te wzory dziś są nieprzydatne.

JÓZEF KLUSKA: — Dlatego szukamy innych. I w tych poszukiwaniach nie chcemy sugerować się ani stanowiskiem, ani przynależnością organizacyjną. Jeśli dyrektor Zwierzyński będzie się cieszył zaufaniem załogi i zostanie wybrany, jako członek załogi, to może być członkiem Rady Pracowniczej. Ale to inna historia.

Chciałbym jednak wrócić do sprawy odpowiedzialności. W moim przekonaniu Rada Pracownicza nie bierze na siebie odpowiedzialności za realizację zadań przedsiębiorstwa. Odpowiedzialność ta spoczywa na administracji. Ona jest przecież wykonawcą decyzji podjętych przez Radę Pracowniczą. Co nie znaczy, że nie należy rozliczyć wnioskodawcę, jeśli wystąpił z fałszywym wnioskiem. Inaczej sobie tego nie wyobrażam.

WIESŁAW WALCZAK: — Rada Pracownicza będzie musiała podjąć odpowiednie decyzje w sprawie planu. Nie wszyscy członkowie załogi mają taką wiedzę, która pozwoli im właściwie ocenić założenia planu. A taką wiedzę ma choćby SIMP czy PTE. Z tego powodu uważam, że ścieranie się poglądów w oparciu o tego rodzaju stanowiska przyniesie nam więcej pożytku niż gdyby ta wymiana poglądów odbywała się bez takich, opartych na wiedzy stanowisk.

Czy reprezentacja organizacji wyklucza powszechne wybory do Rady Pracowniczej? W moim przekonaniu nie. Można bowiem albo wybierać tych przedstawicieli w poszczególnych organizacjach, albo można wybierać część członków Rady Pracowniczej w wyborach powszechnych, a część w organizacjach. Można znaleźć różne rozwiązania. Trzeba jednak wybrać najskuteczniejsze.

PAWEŁ STRUCKI: — Byłbym wszakże przeciwny temu, żeby rozszerzać skład Rady Pracowniczej do większych rozmiarów, bo im większe grono, tym gorzej się dyskutuje, tym mniejsza możliwość osiągnięcia najlepszego porozumienia. Dlatego uważam, że jak się wybierze odpowiednich ludzi w wyborach powszechnych, to zawsze się znajdą tacy ludzie, którzy będą mogli reprezentować tę czy inną organizację, bo do niej należą.

ZENON FRĄCZEK: — Załóżmy, że wybrany też będzie dyrektor, albo jakiś kierownik, bo jest popularny. To nawet dobrze, tylko powstaje pytanie: to jak on sam siebie będzie w tej Radzie Pracowniczej rozliczał i oceniał swą pracę?

JÓZEF KLUSKA: — To samo może dotyczyć przedstawicieli poszczególnych organizacji, jeśli będą reprezentowali tylko dane organizacje, a nie całą załogę.

WIESŁAW WALCZAK: — Mamy w zakładzie 500 członków partii, 100 członków SIMP, w NZZ „Metalowiec" 300, w PTE około 80. W wyniku wyborów znajdą się w Radzie Pracowniczej członkowie wszystkich tych organizacji, a także członkowie „Solidarności". Niby wszystko w porządku. Każdy członek danej organizacji, który wszedł w skład Rady Pracowniczej może ją w tej Radzie reprezentować.

KAROL PAWŁOWSKI: — A jak jeden człowiek jest jednocześnie członkiem kilku organizacji, którą ma reprezentować?

WIESŁAW WALCZAK: — To też prawda, ale nie komplikujmy sobie zbytnio sytuacji. Ja w moim rozumowaniu idę w innym kierunku. Wyobrażam sobie, że do Rady Pracowniczej wszedł młody technik, jest członkiem SIMP i inni członkowie tej organizacji dają mu spory pakiet problemów, propozycji, wniosków, jako swemu reprezentantowi, a on po prostu tego wszystkiego nie podźwignie. Brak mu doświadczenia, wiedzy, umiejętności prezentowania różnych spraw na publicznym, bądź co bądź, forum.

Nie myślcie, że ja, upierając się przy poglądzie, iż do Rady Pracowniczej mają wchodzić przedstawiciele organizacji, walczę o miejsce dla siebie czy innego sekretarza komitetu zakładowego, albo członka egzekutywy. Nie. Chodzi mi tylko, żeby organizacja partyjna, tak zresztą, jak i ZSMP, jak SIMP, PTE, „Solidarność", „Metalowiec", a nawet Liga Kobiet, u nas też pracują kobiety, miały możliwość prezentowania w Radzie Pracowniczej swoich problemów, obrony swego stanowiska, interesów swojej zbiorowości. Dla mnie to się wydaje bardzo ważne. Zasada, a nie personalna obsada miejsca w Radzie Pracowniczej. Delegatów do Rady Pracowniczej w każdej organizacji powinniśmy wybierać w sposób demokratyczny spośród dowolnie zgłoszonej ilości kandydatów.

JÓZEF KLUSKA: — A mnie chodzi o to, aby nie stworzyć takiej sytuacji, w której przyjdzie nam rozliczać samych siebie. Jestem takiej zasadzie przeciwny. I dlatego obstaję przy tym, że przedstawiciele organizacji powinni być doradcami.

WIESŁAW WALCZAK: — Łatwiej jest doradzać niż odpowiadać.

JÓZEF KLUSKA: — Członek Rady Pracowniczej pracuje normalnie na swoim stanowisku pracy jakiekolwiek by tam ono było. I tam musi robić dobrze to, co do niego należy. Za to on odpowiada. W Radzie Pracowniczej natomiast on tylko kontroluje, czy wszyscy dobrze pracują, od sprzątaczki do dyrektora.

JERZY WOJTYLAK: — Co prawda w Radzie powinni być też ludzie znający się na rzeczy.

PAWEŁ STRUCKI: — Wiesław Walczak trochę mnie przekonał. Chyba jednak rzeczywiście powinno być przedstawicielstwo organizacji. Bo człowiek nawet najbardziej popularny może spraw danej organizacji dobrze nie przedstawić.

JÓZEF KLUSKA: — My się chyba nie rozumiemy. Ja nie neguję obecności i udziału w obradach przedstawicieli każdej organizacji. Ale bez prawa głosu.

WIESŁAW WALCZAK: — My się rozumiemy. Tylko patrzymy na sam problem z dwu różnych stron.Mnie chodzi bowiem o to, aby żadna organizacja nie mogła być pominięta w Radzie Pracowniczej. Renciści również. Bo jak przyjdzie do podziału funduszu zakładowego, to kto będzie bronił czyich interesów, jak każda organizacja nie będzie miała tam swoich przedstawicieli?

MAREK KLIŻEWSKI: — Czy my się przypadkiem zbytnio nie spieramy w jednej sprawie, a pogubimy inne. Na przykład nikt nie podjął sprawy rozliczenia samej Rady Pracowniczej. W innych organizacjach robią to komisje rewizyjne. Czy tu też nie trzeba takiego rozwiązania wziąć pod uwagę? Można powiedzieć, że zrobią to wyborcy. Ale czy ocenią trafnie? I druga sprawa, czy nie trzeba jednak zmusić odpowiednie służby szkoleniowe zakładu, aby trochę dały nam wszystkim niezbędnej wiedzy. Przecież teraz, po reformie, będzie jeszcze trudniej orientować się w sprawach zakładu, a trzeba będzie, bo będziemy samodzielni.

JERZY WOJTYLAK: — Jeżeli się spieramy, to przede wszystkim dlatego, że chcemy, aby nasza praca dawała dobre efekty. To nie jest skierowane przeciw nikomu. A już na pewno przeciw administracji.

JÓZEF KLUSKA: — Nie będziemy dusić administracji. Naszej nie. Będziemy od niej wymagać. Ale tę poza zakładem to dobrze przydusimy. Przez trzy lata nie można było załatwić oddania do Praszki zespołów układu hamulcowego, produkowanych równolegle w tamtym zakładzie. Była to ekonomiczna bzdura, ponieważ zakład w Praszce produkował tych zespołów więcej i ma ku temu lepsze warunki techniczne. Nasza Tymczasowa Rada Pracownicza wymogła na zjednoczeniu załatwienie tej sprawy od zaraz.

WIESŁAW WALCZAK: — Jeżeli spieramy się to dlatego, aby nie popełnić błędu przy budowaniu naszej Rady Pracowniczej. Ja nawet gotów byłbym skłonić się ku temu, aby ustawę o samorządzie przygotować wolniej, ale dokładniej. A my przez ten czas sobie różne sprawy przedyskutujemy i niektóre sprawdzimy w praktyce.

JERZY WOJTYLAK: — Też uważam, że ustawa powinna być dobrze przygotowana i co ważniejsze dobrze przedyskutowana w zakładach pracy. Tu u nas powstają już doświadczenia, z których warto innym skorzystać. Powołanie Tymczasowej Rady Pracowniczej wyraźnie dowodzi, że była nam potrzebna. Sami też coś potrafimy zrobić.

JÓZEF KLUSKA: — I jeszcze podstawowa sprawa: rady pracownicze będą mogły należycie działać w oparciu o gruntowną reformę gospodarczą. Nie wystarczy do tego dotychczas prezentowana mała reforma, która w zbyt wąskim zakresie przetłumaczona jest na język poszczególnych zakładów.

Poza tym uważam że dużą reformę powinni robić ludzie, nie uwikłani w historyczne zakręty. Nowa sytuacja w kraju wymaga i nowego spojrzenia, i nowych ludzi.

Dyskusja nad radami pracowniczymi trwa nie tylko w FOS „Polmo" Toczy się ona w różnych fabrykach, przedsiębiorstwach. Powszechna jest bowiem potrzeba samorządności. Ludzie chcą sami decydować o tym, co i jak mają robić, uwzględniając potrzeby ogólne, bo sami najlepiej wiedzą, jakimi dysponują możliwościami. W tej dyskusji przedstawiliśmy głos FOS „Polmo".

W FOS „Polmo" Tymczasową Radę Pracowniczą powołano 26 stycznia 1981 roku. W jej skład weszli przedstawiciele dyrekcji oraz organizacji politycznych i społecznych działających w zakładzie. Każda reprezentacja składa się z 5 osób.

Na posiedzeniu Tymczasowej Rady Pracowniczej 29 stycznia 1981 roku podjęto decyzję o przyjęciu planu produkcyjnego na rok 1981, obwarowując ją warunkami techniczno-produkcyjnymi, techniczno-organizacyjnymi, jak też zewnętrznymi dotyczącymi zaopatrzenia i dostaw energii.

W punkcie 14 uchwały Tymczasowa Rada Pracownicza stwierdza: „TRP udziela wotum zaufania dr inż. S. Ostrowskiemu na stanowisku dyrektora naczelnego".

Opracowała: BOGDA MADEJ

HENRYK CZARNECKI

AGONIA APTEKI

Taki tytuł do artykułu zaproponowało mi kierownictwo i pracownicy tzw. Apteki Leków Zagranicznych. Tak zwanej, bo faktycznie istnieje ona już tylko z nazwy i szyldu, informującego, a właściwie dezinformującego pacjentów-klientów. Ich także trudno już nazwać klientami, bo klient, to ktoś, kto wchodzi, bierze towar, płaci, wychodzi, a tutaj wymienione czynności ograniczają się z reguły do wchodzenia i wychodzenia. Dobre i to — przynajmniej zimą ogrzać się tutaj można. Apteka mieści się w centralnym punkcie Łodzi, w zabytkowym, secesyjnym budynku, swoim wewnętrznym wystrojem niemal zaprasza, by wejść, popatrzeć na puste, stylowe szafeczki, półeczki, nawet posiedzieć, odpocząć, poobserwować szybko przesuwających się przed okienkiem pacjentów.

* * *

Zaczynało się wszystko tak sensownie i pomyślnie. W końcu lat pięćdziesiątych Punkt Skupu i Sprzedaży Leków Zagranicznych (tak wwóczas nazywała się ta apteka) pełnił ważną funkcję: uzupełniał szczupły asortyment leków krajowych, których nie zdążyliśmy się jeszcze dorobić na własnym, farmaceutycznym podwórku. Więc i korzyść była dla chorych i zysk dla państwa (wysoka marża), i zysk dla otrzymujących paczki od krewnych z zagranicy z lekami, bo źródłem zaopatrzenia apteki był wyłącznie skup od ludności. I zaopatrzenie było — jak mnie informują — więcej niż dobre.

W latach sześćdziesiątych ministerstwo zainteresowało się tego typu placówkami, przemianowując punkty skupu i sprzedaży na apteki leków zagranicznych. Utrzymując nadal skup leków od ludności, zasadniczy ciężar zaopatrzenia przejął Cefarm, co znów wychodziło aptekom na zdrowie, gdyż mogły składać już zamówienia na najbardziej poszukiwane lekarstwa i nie musiały ogarniczać się do przypadkowych zakupów. Dobra prosperity trwała ku powszechnemu zadowoleniu wszystkich zainteresowanych przez kilka lat.

Gdy z czasem zaczęły pojawiać się krajowe odpowiedniki zagranicznych leków, gdy rozwijający się polski przemysł farmaceutyczny zaczął wprowadzać coraz to nowe preparaty, Cefarm systematycznie zaczął zmniejszać zagraniczny asortyment. W tym ograniczeniu zapomniano jednak, niestety, że nie we wszystkich przypadkach działanie krajowych leków było równie skuteczne. Dlatego też nie malało i nie maleje nadal zainteresowanie lekami zagranicznymi. Nie zawsze też krajowe odpowiedniki były i są dostępne w aptekach. Mimo więc wysokiej ceny zagranicznych preparatów (sprzedaż wyłącznie za 100 proc. opłatą) opinia publiczna domagała się i domaga możliwości nabywania tych leków.

W ostatnich latach — bez żadnej konsultacji z kierownictwami aptek leków zagranicznych — w sposób arbitralny Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej zaczęło w niepokojących rozmiarach, pospiesznie, niezgodnie ze społecznymi potrzbami, w sposób nieprawidłowy zmniejszać asortyment leków zagranicznych. Z „około 500 dotychczasowych pozycji znajduje się aktualnie w oficjalnym zapisie zaledwie 61. Rozumiemy tragiczną sytuację ekonomiczną kraju, konieczność oszczędzania dewiz i związane z tym ograniczenia importowe (może należałoby zastanowić się czy właśnie na lekarstwach należy oszczędzać), muszą być one jednak w granicach rozsądku, bez szkody dla ludzkiego zdrowia, sensowne i głęboko przemyślane.

Szczególnie muszą razić skreślenia leków przeznaczonych dla dzieci. Wycofano zagraniczny pedia-vit, gdy w aptekach od dłuższego czasu odczuwany jest chroniczny brak krajowego vibovitu. Skreślono z listy doskonałą maść dla dzieci ben-gay, gdy w ogóle nie istnieje jej krajowy odpowiednik. Najbardziej jednak zdumiewa fakt, że skreślenia nie dotyczyły zupełnie zagranicznych środków antykoncepcyjnych (chociaż jest pod dostatkiem krajowych). Więcej: dołożono nowy, następny preparat — restovar. Proszę zwrócić uwagę: na tej bezlitośnie okrojonej liście najbardziej potrzebnych leków znalazły się aktualnie aż trzy zagraniczne preparaty antykoncepcyjne (o podobnym zresztą działaniu), których pokrycie jest wyższe od wszystkich pozostałych leków, gdy brak jest podstawowych leków. Tego rodzaju polityka asortymentowa budzi nie tylko społeczny sprzeciw, ale i oburzenie, oburzenie to podzielają także kierownictwo i personel apteki.

Foto: R. Łucyszyn

Pytam: gdy brak jest orisulu, ultraxu, histaglobiny (w wielu przypadkach nie dającej się niczym zastąpić), gdy brak najniezbędniejszych leków, gdy półki z krajowymi lekami także świecą pustkami, gdy zrozpaczeni i wyczerpani beznadziejnym bieganiem od jednej apteki do drugiej ludzie słyszą sakramentalne „nie ma", to rozszerzanie i tak już szerokiego asortymentu antykoncepcyjnych środków kupowanych za dewizy budzić musi co najmniej zdziwienie. Ale może się mylę? Może moje zdziwienie jest bezpodstawne. Może istotnie antykoncepcja jest sprawą „nadrzędną"?

Wracając do tej nieszczęsnej listy 61 pozycji. W IV kwartale 80 roku apteka nie otrzymała w ogóle aż 41 leków, z pozostałych 47 — pokrycie zamówienia wyniosło... 10 proc. Podobnie (jeszcze gorzej) wygląda sytuacja w bieżącym roku: do dnia dzisiejszego (3 lutego) apteka nie otrzymała jeszcze żadnych dostaw. Rozglądam się po pustych półkach: na regałach za szkłem oczekuje na pacjentów zaledwie 10—15 rodzajów preparatów zagranicznych. To cały stan posiadania. W tej sytuacji apteka — ongiś pełna kupujących, zamieniła się teraz w aptekę pełną... pytających. Przeto kolejka przed okienkiem przesuwa się szybko, słowa „nie ma" muszą wystarczać za lek. Zerkam na pierwszy stół: zaledwie 21 zrealizowanych recept z dnia dzisiejszego.

— *Jaki to procent pacjentów, którzy przewinęli się dziś przez aptekę?* — pytam ekspediującą panią magister.

— *Dwa, może trzy* — odpowiada zażenowana.

Do apteki wchodzi kolejna pacjentka, podaje receptę, pani magister potrząsa przecząco głową. Pacjentka również bez słowa odchodzi.

— Jakiego leku pani poszukuje? — pytam.

— *Orisulu.*

Tą pacjentką jest doktor Danuta Leśniak. Od dwóch miesięcy bezskutecznie poszukuje tego lekarstwa dla swego dziecka.

— *Jak pani sobie teraz radzi bez niego?* — pytam.

— *Znów będę musiała zastosować znacznie silniejszy krajowy preparat nie pozostający, niestety, bez wpływów ubocznych dla zdrowia.*

Następny pacjent — znów lekarz, adiunkt kliniki położniczo-ginekologicznej, dr med. Feliks Kolasa. Pełen nadziei i niepokoju wręcza receptę.

— *Histaglobina* — informuje mnie cicho. — *Lek absolutnie konieczny dla ciężko chorego dziecka. Nie ma krajowego odpowiednika tej klasy.*

Zdecydowany jest zapłacić tutaj 570 zł za jedno opakowanie, chociaż wszystkie leki poza tą apteką służba zdrowia otrzymuje przecież bezpłatnie. Nie tylko on zresztą. Szpitale też usiłują tutaj zaopatrzyć się w leki, płacąc 100 proc. Otrzymują, niestety, także sakramentalną odpowiedź: „brak leku". Jednocześnie zastanawia fakt, że do aktualnego asortymentu leków wprowadzono 4 preparaty stosowane w stomatologii — bardzo drogie i mało chodliwe. Wartość ich sięga wielu tysięcy złotych (ile to będzie w dolarach?), nikt ich nie kupuje mimo szerokiej informacji kierownictwa apteki. A termin ich ważności jest też ograniczony. Kto i po co wydatkował na nie tak potrzebne przecież dewizy?

Dzień pracy dobiega końca, pustoszeją ulice, godzina 20.30, jeszcze tylko od czasu do czasu szczękną wejściowe drzwi, ktoś wejdzie, zapyta — pani magister mówiła przecież w grudniu, że po pierwszym, w połowie stycznia, pod koniec powinno coś nadejść, więc może dzisiaj akurat — niestety. Lekarze także wiedzą, że w aptece niczego już nie ma, coraz rzadziej zapisują nie istniejące leki — można więc usiąść, spokojnie wypić kawę, podzielić się wrażeniami ze spędzonego w aptece dnia. Pani magister powoli miesza kawę, nie odrywa oczu od szklanki, jest przygnębiona.

— *Jaką satysfakcję daje pani praca w tutejszej aptece?* — pytam, panią magister Irenę Baranowską, kierowniczkę apteki.

— *Żadna* — mówi nie patrząc na mnie. — *Wysiłek mój jest ogromny, a efekty znikome. Jestem po prostu zażenowana, odmawiając ludziom leków, często bardzo ważnych. Perspektyw na jakąkolwiek poprawę nie widzę. Więcej: wiem na przykład, że z tej żenująco już skromnej listy będą dalsze skreślenia. Wiem też, że zaopatrzenie na I kwartał 1981 r. osiągnie maksimum 5 proc. potrzeb, w niektórych przypadkach nawet 1 (słownie — jeden) procent. Na przykład histaglobina — na 2.000 zamówionych opakowań tego, jakże koniecznego, niezastąpionego szczególnie dla dzieci leku, otrzymam „aż" 20 opakowań. Proszę pomyśleć: na trzy miesiące. Co ja mam z nimi zrobić? Jeśli wyłożę je na ladę, otrzyma je pierwszych dwudziestu pacjentów, niekoniecznie tych najpilniej nawet potrzebujących. Wydawać ich według własnego uznania — tym bardziej przecież nie mogę. Jest to dla nas sytuacja wręcz dramatyczna. Jakiż jest więc w ogóle sens istnienia takiej apteki? Utrzymywania jeszcze jednej więcej fikcji, a dotyczącej jakże ważnej i odpowiedzialnej dziedziny, jaką jest zdrowie człowieka.*

Bez przerwy dzwonią telefony, bez przerwy muszę tłumaczyć się ludziom, odmawiać leków, zdając sobie sprawę, że niejednokrotnie taka odmowa może być powodem poważnych komplikacji. Jeszcze trudniej stawać przed nimi twarzą w twarz przy okienku. Gdyby chociaż potrafili złorzeczyć, jak kiedyś natarczywie dopominając się leków — teraz nauczyli się milczeć, odchodzą sprzed okienka w rozgoryczeniu, pełni rezygnacji, bez słowa. Przyzwyczaili się już do tego, że coraz częściej brak rzeczy najpotrzebniejszych. Razem z nimi przeżywam bezsilność, nie mogę im pomóc. A oni tak przecież wierzyli w absolutną skuteczność tych leków: zdaje pan sobie chyba sprawę, jak istotną rolę w leczeniu odgrywa wiara — w lekarza, w konkretny lek, do jakiego stopnia czynnik psychologiczny odgrywa rolę w leczeniu.

Łódzka Apteka Leków Zagranicznych zyskała sobie w społeczeństwie wysoką rangę. Tutejsi pacjenci to ludzie nie tylko z terenu Łodzi i okolic, ale często z odległych regionów kraju. Codziennie dzwonią tu telefony z prośbą o leki. Z Gdańska, z Rzeszowa, ze Śląska. Jeszcze częściej bezpośrednio przyjeżdżają tu ludzie. Nie ufają telefonom. Wierzą, że gdy osobiście poproszą, osobiście przedstawią swoją dramatyczną sytuację, może prędzej uda im się zdobyć lekarstwo. Uważam więc, że apteka nie spełnia swej funkcji i w tej sytuacji powinna jak najszybciej zapaść decyzja przesądzającą sens istnienia w ogóle tej placówki. Jeżeli ma istnieć, należy zaopatrzyć ją w najpotrzebniejsze leki w ilości choćby dostatecznej. Nawet po wyższych jeszcze cenach, jeśli to mogłoby przynieść jakąś poprawę. W przypadku niemożności zaś spełnienia choćby minimalnych potrzeb apteki — należałoby szczerze i uczciwię poinformować o tym społeczeństwo. Trzeba uczciwie spojrzeć raz prawdzie w oczy.

TOMASZ HUBERT ORŁOWSKI

PIOTRKOWSKA I JEJ STOMATOLODZY

Można by przyjąć a priori, że cała problematyka konserwatorska Łodzi sprowadza się do ulicy Piotrkowskiej. Wprawdzie nie wyczerpuje ona całego bogactwa sztuki łódzkiej, ale w sposób najistotniejszy stanowi o jej charakterze. Zanim zatem zajmę się omawianiem konkretnych rozwiązań chciałbym wskazać na te przyczyny, które moim zdaniem wpływają na sytuację, w której jedna ulica jest reprezentatywna dla milionowego miasta.

Specyfika układu przestrzennego Łodzi polega na tym, że inaczej niż w większości miast polskich, jego naturalnego centrum nie stanowi miasto średniowieczne. Po prostu łódzkie stare miasto (w okolicach dzisiejszego placu Kościelnego) nie mogło, z racji swojego ubóstwa, spełniać takiej roli. Przyjął ją odcinek traktu piotrkowskiego, wzdłuż którego wyznaczono działki dla tkaczy w osadzie rządowej Łódka. Ten odcinek traktu, a od 1823 ulica Piotrkowska, dał początek najdłuższej chyba ulicówce, czyli układowi opartemu tylko na jednej osi, jako centrum urbanistycznym. Można by tu przywołać przykłady miast, które rozwijały się również w oparciu o taką oś, ale innego typu: rzekę. Takim przykładem może być Paryż, dla którego Sekwana jest przestrzennym kręgosłupem. Podobieństwo układu nie zaćmi jednak różnic — kręgosłup Sekwany jest tworem natury, którego kolejne pokolenia budowniczych nie mogły ominąć ani usunąć, zaś Piotrkowska jest dziełem człowieka i tylko od człowieka zależy, czy będzie istniała nadal. Stąd wszelkie działania ludzkie, czy to w formie ochrony konserwatorskiej, czy współczesnej ingerencji architektonicznej, muszą być na tyle przemyślane, by nie szkodzić jej.

Spośród tych prac najbardziej dyskusyjne są tzw. plomby, czyli powstające na miejscu wyburzonych kamienic nowe budynki. Ich dyskusyjność bierze się ze skupienia się w nich wielu problemów, a to zasadności wyburzenia, wkomponowania w zabytkowy zespół przy jednoczesnej dbałości o indywidualizację i perfekcję dzieła sztuki.

Nikt nie ma wątpliwości, że wyburzenia są konieczne — decyduje o nich przede wszystkim stopień zniszczenia budynków (zmęczenie techniczne) albo, mniej słusznie, niska wartość estetyczna lub użytkowa. Konieczność takich wyburzeń jest zrozumiała — podstawową formą ochrony architektury jest jej użytkowanie, a nie każdy z budynków czynszowych przy Piotrkowskiej nadaje się do zamieszkania. Stąd bierze się pojęcie plomb. Nie mogąc uratować całej substancji zabytkowej, musimy ograniczyć się tylko do odziedziczenia dawnego układu przestrzennego, jako reliktu XIX-wiecznego miasta. Pojęcie zabytkowego układu przestrzennego, tworzące się w Polsce już od półwiecza, nie jest jednak do dziś uregulowane — jego ochrona wynika z ogólnych założeń sejmowej ustawy o ochronie dóbr kultury i muzeach z 15 lutego 1962, brak natomiast wszelkich rozporządzeń szczegółowych. Stąd decyzje o wyburzeniach mogą być podejmowane samowolnie.

Uprzedzając je, łódzkie władze konserwatorskie opracowały projekt przekształcenia Piotrkowskiej w zabytek urbanistyki, wraz z wskazaniem, które niezabytkowe budynku w zespole ulicy można usunąć bez szkody dla niej. Studium historyczno-urbanistyczne Ireny Popławskiej, Wacława Balda i Henryka Jaworowskiego oraz dokumentacja historyczna i wnioski konserwatorskie do modernizacji Piotrkowskiej Wojciecha Walczaka, w sposób nowatorski łączą dwie tendencje, które — zdawałoby się — są nie do połączenia. Tendencję do unowocześniania, choćby niepotrzebnego, będącą chyba kompensacją naszego kompleksu ubóstwa, zaściankowości i staromodności — z jednej strony, zaś tendencję do zachowania patrimonium — z drugiej.

Trzeba przyznać, że od czasu tych opracowań, w stosunku do wyburzeń i nowotworów budowlanych, czyli plomb, nie można mieć zbyt dużych zastrzeżeń. Dotyczy to zasadniczo strefy ochronnej ulicy, obejmującej ciąg od placu Wolności do ulicy Głównej, czyli obecnej alei Mickiewicza. Gorzej jest w pozostałej części. Spójrzmy, że istnieje różnica między plombami z lat sześćdziesiątych (np. Piotrkowska 94, siedziba łódzkich związków spółdzielczych), a powstałymi w latach siedemdziesiątych w wyniku koprodukcji architektów i konsultujących konserwatorów (np. Piotrkowska 105, tam gdzie Moda Polska i kawiarnia Ratuszowa). Nie obyło się bez dyskusji, czy ten plombowiec, projektu H. Jaworowskiego i P Kasprzaka, mieści się w zabudowie Piotrkowskiej. Sądzę, że architekci dokonali tego, stosując się do stylistyki i podziałów sąsiednich budynków. Powstała w ten sposób elewacja o neutralnym zdobnictwie, ograniczającym się do szybkiego rytmu malutkich płytowych balkoników.

Jak wspomniałem — gorzej jest na południe od trasy WZ. W tej chwili wzniesiono tam dwa budynki — między Mickiewicza i Żwirki — będące nowością technologiczną (gdyż po raz pierwszy użyto w tego typu budownictwie elementów wielkopłytowych) zbyt silnie ingerującą w ciąg zabytkowych kamienic. I tak, o ile narożny budynek (projektu Bolesława Kardaszewskiego, patrząc od Żwirki jest bardzo interesujący, a użycie w jego cokole klinkierowej cegły nawiązuje do tradycji architektury łódzkiej lat trzydziestych (proszę choćby porównać z osiedlem Montwiłła — Mireckiego), o tyle wyłamuje się z ciągu Piotrkowskiej. Może zatem architekt projektując go nie zdał sobie sprawy, że tak zindywidualizowany budynek nie powinien się znaleźć w zespole zabytkowym?

Drugi gmach, również projektu B. Kardaszewskiego, powstaje między budynkiem Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej m. Łodzi, a dawną Bibliotekę Pedagogiczną — w przyszłości siedzibą łódzkiego oddziału PAN (tj. blok pod numerem 177). Budynek ten wprawdzie dostosowany jest wysokością do swojego północnego sąsiada, ale za to sąsiadujący z nim od południa pałacyk, traci w takim zestawieniu swoją wieńczącą, niczym grzebień attyki, balustradę z narożnymi obeliskami. Projektujący architekt nie wziął pod uwagę, że na miejscu jego plombowca znajdowały się pierwotnie parterowe domki, które pozwalały budowniczemu pałacyku przy Piotrkowskiej 179, Franciszkowi Chełmińskiemu — na takie rozwiązanie zwieńczenia, które teraz przewyższyła, niszcząc optycznie, plomba.

Ujawniliśmy w ten sposób najważniejszą cechę dobrych plomb — ich dostosowanie do układu poprzedzającego je i istniejącego w otoczeniu. Jak zauważyliśmy, na przykład nie wzięcie pod uwagę charakteru i gabarytów budynków poprzedzających plombę przy Piotrkowskiej 177, było ewidentnym błędem. Następna sprawa to dostosowanie się do istniejących w ciągu ulicy sąsiednich kamienic, ich wysokości, podziałów, zdobnictwa. Nie oznacza to neostylowego kopiowania starych form (co jest tyle niewłaściwe z punktu widzenia współczesnej architektury, co i fałszywe z punktu widzenia konserwatora), ale stosowania w neutralnie projektowanych elewacjach form stylizowanych. Jest to jakby włączenie nowego budownictwa w tradycję budowlaną ulicy, miasta itp. Dobry przykład może stanowić stosowane we Francji przykrywanie domów, wykonywanych z elementów prefabrykowanych, ustawionych w zabytkowym ciągu ulicznym, mansardowym dachem. W tym przypadku nie oznacza to „gorszego" piętra, o niższym standarcie, mieszkania dla niewypłacalnych cyganów-artystów. Jest to normalna kondygnacja mieszkalna, tylko od zewnątrz zamarkowana pochyłością dachu-mansardy.

Jeszcze jedno francuskie rozwiązanie warte jest przytoczenia. Otóż gdy zachodzi konieczność wyburzenia starej i zużytej kamienicy, przed postawieniem na jej miejscu nowego domu, buduje się w oparciu o jej podpiwniczenie niewielki podziemny garaż-parking. To dodatkowa próba uratowania starego układu urbanistycznego, którego zbyt ciasne ulice nie będą się mogły długo opierać naporowi motoryzacji. Uważam, że takie garaże stanowią element właściwiej pojętej ochrony zabytków, niż odbudowa nieistniejących od kilkudziesięciu lat pomników przeszłości. Walczy bowiem z niebezpieczeństwem, któremu jeszcze może zaradzić i stara się to robić. A Piotrkowska już z trudem mieści setki parkujących samochodów.

PO CZEMU ZŁOTO?

Dorota Chroscielewska

To już był ostatni nasz dzień tutaj. A właściwie ostatnie popołudnie. Pogodni i w doskonałych nastrojach wybraliśmy się na przechadzkę. W pobliskim antykwariacie kupił mi pierwsze wydanie Vigilien. Szliśmy do biblioteki, zawsze z tym jakoś zwlekałam, po fotokopie artykułów i szkiców, które miały mi być szczególnie potrzebne, a które, przyznaję, przejrzałam bardzo pobieżnie. W ciągu czterech dni spędzonych w Turcji opaliliśmy się tak bardzo, że tu w cieple, ale wrześniowe przecież popołudnie oglądano się za nami ze zdziwieniem. A niewiele rzeczy mogło wypasionych i forsiastych obywateli Miasta zaskoczyć. To Miasto, które mnie z początku tak irytowało i porażało stało się teraz właściwie bliskie i serdeczne. Nie polubiłam tylko gotyku sławnych ze swej piękności budowli sakralnych, w których nigdy nie czułam Boga. I zgiełku. Ale zgiełku, kurzu, ryku klaksonów, biegu przez zatłoczone jezdnie nie lubiłam i w moich rodzinnych stronach.

Szliśmy więc, objęci wpół, przytuleni, zachwyceni sobą i światem, do biblioteki, kiedy... Omal na niego nie wpadliśmy. Mistrz! Boże, jaki cudak. W tym garniturku dżinsowym niby jeszcze wyższy i jeszcze grubszy. Na wypukłym baryłkowatym brzuchu kolebie się na srebrnym łańcuchu krzyżyk.

Zwariował?

Łepek jakby mu jeszcze bardziej pomalał. Niebieskie, okrąglutkie oczka guziczki, oczka człowieka zakochanego w sobie ponad miarę. Uszka niedźwiadkowe, odstające. Włoski jaroletniego blondaska, króciutkie, poskręcane z prześwitującym różowawo ciemiączkiem.

— *O, moja przyjaciółeczka!*

Nie udało się. W miejscu dokonuję półobrót.

— *Dzień dobry!*

— *Kiedy wracasz, dziecinko?* — pyta.

— *Już jutro. Właśnie idę ostatni raz do biblioteki.*

— *A co, stypendium nie wystarczyło?* — pyta — tym razem z zainteresowaniem i jako przyjaciel całego świata, smutnie kiwa głową. Aż nagle, no tak, zobaczył i ten mój uszarpany komplecik, który kosztuje, o typowe, polskie przeliczenia, grubo ponad sto pięćdziesiąt dolarów i grubą złotą plecionkę z aleksandrytem na przegubie ręki. I w małych, milusich oczkach zdziwienie.

— *Stypendium?* — Śmieję się. — *Ach, gdybym była tylko zdana na stypendium to ładnie bym wyglądała. Proszę pana, nie wiem, czy starczyłoby mi na dziesięć dni.*

— *No tak, no tak* — mówi. — I zaraz poufnym szeptem — *handlowałaś?* — I małe dyskretne oczka biegną teraz w stronę mego towarzysza, który, grzecznie uśmiechnięty, niczego nie rozumiejący wpatruje się w te głupie szpiegujące gały, potem kieruje wzrok na mnie. — *Ach, tak, trzeba panów przedstawić.*

— *Pan pozwoli, mój agent.*

— *Agent? Co to znaczy agent?*

— *Pilnuje moich tutejszych spraw wydawniczych!*

W milusich oczkach wyraz osłupienia. Protestu. Świętego oburzenia. Gniewu. Pogardy. I jednocześnie przymilne spojrzenie człowieka w jakiś tam sposób ode mnie uzależnionego.

— *Aaa* — mówi mój Mistrz. To „aaa" nie ma końca.

Mój agent zaś uszczypnięty, mam nadzieję nie boleśnie, w łokieć, nie żąda już wyjaśnień.

— *Może wpadniemy gdzieś na kawę* — proponuję. I pamiętliwie dodaję: — *Naturalnie każdy płaci za siebie.*

— *Kochanie* — zwracam się domojego przyjaciela — *właśnie wytłumaczyłam panu, że jesteś moim agentem wydawniczym* (znowu uszczypnięcie w łokieć) *i zaproponowałam, abyśmy wpadli gdzieś na kawę.*

I z kolei do nauczyciela:

— *Pan pozwoli, iż będziemy rozmawiali po niemiecku, z moim agentem porozumiewam się najczęściej właśnie w tym języku.*

— *Och nie, nie tutaj* — oponuję — gdy Mistrz usiłuje wciągnąć nas do obskurnej, taniutkiej piwiarni. — *Chcę do Loreley!*

— *Ach, naturalnie najwygodniej będzie w gabineciku!* — I zamawiam: dwa kieliszki napoleona (wydaje mi się, że napoleon na Polakach robi szczególne wrażenie, mimo że tu nie należy wcale do drogich) i kawę mrożoną. I kremo-galaretkę z wszystkimi owocami jakie znam i z tymi, których nazw nigdy nie poznam.

Obaj panowie bardzo mocno, przyznaję, zaskoczeni.

— *Czy nie uważasz kochanie, że to zestawienie jest dość awangardowe?* — pyta jeden.

— *Jezus, Maria, Jezus, Maria* — szepcze drugi i wyciąga z kieszonki na piersiach wytłuszczoną portmonetkę podkówkę. Dla „agenta" zamawiam podwójnego stocka.

— *A pan czego się napije* — pytam Mistrza.

— *Poproszę małą kawę* — oblizuje spierzchnięte wargi.

I nagle odzywa się w nim uśpiony dotąd honor Polaka: może jedno małe, maluteńkie ciasteczko.

I z miną, jakby czekała nań Somosierra: władczo i buńczucznie: mogą być dwa!

No tak, przelamał się. Poznać pana po cholewach! Ten gest! Przeliczać będzie później.

— *Ach, o czym to mówiliśmy, łaskawa pani?* — udaje, że nie pamięta. Już nie jestem przyjaciółeczką. Już jestem KIMŚ.

— *Ano, o moim rychłym wyjeździe* — mówię, udając, że nie rozumiem intencji.

— *Co pani tłumaczą?* — wreszcie pyta wprost.

— *Ach, wszystko co napisałam. Przekład naturalnie autoryzowany.*

— *No tak, no tak. Dobrze płacą?*

— *Nieźle* — mówię — i trochę przerażona, trochę uradowana, że chwyciło, myślę, że szykuje się niezły bal.

— *Proszę pana* — zwracam się teraz do agenta — *a czy pana nie zainteresowałyby takie zgrabne artykuliki przyczynkarskie, a pan wie, że na przyczynkach opiera się cała nauka, jak na przykład „Wpływ Komuny Paryskiej na estetykę przełomu wieków", dwie strony, „Estetyka przełomu wieków a Komuna Paryska. Wpływy i zależności", półtorej strony. „Napoleon i napoleończycy w malarstwie francuskim" dwie strony; „Delacroix — zarys monograficzny" osiem stron; „Napoleon w malarstwie niemieckim", dwie strony; „Napoleon w europejskim malarstwie z przełomu wieków", półtorej strony.*

Mój agent boleśnie szczypie mnie w łokieć. Naturalnie oddaję.

— *„Przełom w sztuce"... dwie strony.*

— *Przepraszam, pana bardzo, ale moją firmę interesuje tylko beletrystyka.*

— *Ja w zasadzie jestem historykiem. Może „Książę Józef Poniatowski. Życie i dzieło", jedenaście stron...*

— *Pan wybaczy, ale tym się nie interesujemy. To nie leży w profilu wydawnictwa, które reprezentuję. Przykro mi doprawdy.*

— *„Książę Józef Poniatowski. Żywot i myśli"*, pięć stron — nie daje za wygraną.

— *Niestety, proszę pana...*

Już zrozumiał, że nic z tego. Ale, naturalnie winną jestem ja. To wszystko dzięki moim pożałowania godnym intrygom. Niszczę go. W okrągłych błyszczących oczkach cierpienie całego świata. Tak właśnie cierpi się za milion. Jest mi go żal.

Chciałby wstać i wyjść, ale naturalnie musi przedtem pożreć te dewizowe ciastka. Chlup — jedno gromne ciastko znika w rozdziawionej gębie. Chlup — znika drugie. I teraz kawę, jednym duszkiem. Nasze kawy jeszcze nie ruszone. I kieliszki prawie pełne... I nagle odżywa w nim pewna nadzieja. Nawet jeśli mój agent nie może, to pewnie ma spore chody, pewnie zna i innych agentów.

— *Dużo pani zrobiła?* — pyta uprzejmie i w malutkich oczkach pojawia się wyraz ogromnego zainteresowania.

— *Wszystko, co zaplanowałam, dlatego wyjeżdżam.*

— *Zwiedziła pani też?*

— *Naturalnie, choć tutejsze zabytki są mi absolutnie obce. Byliśmy w Turcji — dodaję.*

Znów to „aaa", które nie ma końca. Małe błyszczące oczka wpatrują się w plecionki na naszych rękach, potem w moją grubą bransoletkę.

— *Po czemu tam złoto?*

Ano tak: w kolejce za mięsem, po czemu kilo. Moja pani, co tu dają? Delacroix i estetyka przełomu wieków. Napoleon. Książę Józef. Byliśmy w Turcji. Po czemu złoto.

I zamiast' — *idź do cholery, idioto. Nie kompromituj siebie i kraju, który ciebie tu przysłał*, grzeczniutka odpowiedź: — *nie wiem, nie pamiętam, ale chyba tanie.*

— *Wie pan, miałam to szczęście, że byłam w Bizancjum. To wielkie szczęście doprawdy. Proszę sobie wyobrazić Aya Sofya. Cóż za brak proporcji, jakie ciężkie. Owe dobudowane minarety ni w pięć ni w dziewięć, ale jakież to jednocześnie piękne. Ach mój Boże, bo cóż to jest piękno? To dawne — to myślałam, że właśnie ład, właśnie harmonia. Wie pan, teraz to już nic nie wiem. W przedsionku Aya Sofya bizantyjskie mozaiki. Dziewica z Dzieciątkiem, Justynian, Konstantyn, Aha, i jeszcze Chrystus. Boże, kolumny ze świątyni Zeusa z Baalbek i Artemidy z Efezu. Byłam w ruinach Blachernai, w siedzibie rycerzy krzyżowych, którzy po zajęciu Konstantynopola...*

— *Dużo pani przywiozła?*

— *Co? Ach, nie! Tylko to. I byłam w domu, w którym umarł Mickiewicz. Na ulicy Słodkich Migdałów. Urzekająca nazwa dla kogoś, kto być może umrze na Kominiarskiej, prawda? To na przedmieściach miasta. Trzeba było przepłynąć Bosfor. Ach i co jeszcze. Obok niewyobrażalnych luksusów, jakaż nędza. Chałupki z dykty, trocin, papy. I wie pan, modliłam się nad grobem Langiewicza. Taki napis: Marjan Langiewicz. Dictator of Poland. Las, las cyprysów. Byłam na grobie „kochanki pierwszych dni". Na sarkofagu złamana kolumna. Przywiozłam stamtąd gałązkę cyprysu.*

— *Piękne. Prawdziwie piękne. A proszę mi powiedzieć jaki to kamień?*

— *Chyba aleksandryt. Wie pan, tam nie ma wieczoru. Dzień, wielkie słońce. Oślepiające dosłownie. I od razu noc. Ale jaka! Przepastna. Nigdy w życiu nie widziałam takiej gęstej czerni. I Krzyż Południa! Pięknie! Gdyby pan pił ichniejszą granatową niemal herbatę. To dziwne, bo kawę mają właśnie fatalną. Aha i palą przedziwne fajki. Z filtrem napełnionym perfumowaną wodą.*

— *Ho, ho, ale to ciężkie! Ile waży?*

— *Co? Ach, nie wiem. Potem pojechaliśmy do Troi. Upiorna droga. Wie pan, wypożyczyliśmy samochód. Ależ oni jeżdżą. Ruch lewostronny i prawostronny. Wszystko naraz. Ale refleks mają! Jak jechaliśmy, prawie wzdłuż morza Marmara, całe niemal pobocza zapełnione zdechłymi osłami. Boże, jak śmierdziało. Ile robactwa, ileż żrących padlinę ptaków. Że też oni nie boją się jakiejś cholery. A może to ich ogniste słońce zabija wszystkie bakterie?*

— *To chyba ręczna robota?*

— *Wie pan, nie bardzo się tym interesowałam. I proszę sobie wyobrazić, Troi nie ma. Śmieszne. Jakieś głupkowate, bez żadnego wyrazu wzgórze, troszkę ruin, ale to okres rzymski. One były jakie. Jakiś murek na szczęście z Troi VI, bo Hektor zamiast obiec, mógłby po prostu przeskoczyć. Nic. Zupełnie nic. Kamień na kamieniu. Pustka. Wie pan, tak sobie myślę, że przeszłość, też nie istnieje. Przeszłości nie ma, więc cóż w końcu jest?*

— *A jakiś kożuszek przywiozła sobie pani?*

— *Nie. Wie pan i byłam w Bizancjum. W muzeum złoto, złoto, złoto. Rękopisy, miniatury, dywany, relikwie Proroka. I te dobudowane minarety przy Aya Sofya. I to jest piękne. Ale dlaczego, mój Boże? Co to jest piękno?*

HENRYK HARTENBERG

BEZSENNOŚĆ

Rozlewisko

Wielka pustynia wodna
Nad którą zatrzymał się na mgnienie
(O — ta wieczność) księżyc
Ażeby powędrować dalej aż do pulsującego
Świtu
Lecz teraz trwa tutaj
Przerażające milczenie chwytające
Za gardło jak „trwożliwa bestia"

W tej ciemności
Za wyrastającymi krzewami
Tonie — powoli bardzo powoli
Gwiazda zaranna
Potem czarna gęsta mgła
Odsuwająca granice w najdalszą
Rozległość
Obejmuje nagle rozlewisko

O — te noce bezsenne

Szedłem wilczymi tropami
Szukając ciebie w wyobraźni
Nigdy nie pokonanej

Nie spotkałem już nikogo

Pozostaje oczekiwanie
Ciężkie jak trwoga która narasta
Tutaj
Nad brzegiem niewidzialnego
Rozlewiska
Gdzie „odpryski twarzy" błądzą
We śnie od poczęcia świata —
Od poczęcia światła

O poranku wiatr rozwiał mgłę
Otwierając pustkę przeogromną

A ja —
Ja jestem jak ten chory ptak
Który wciąż krąży nad rozlewiskiem

ZIEMSKA TWARZ

Odchodzą

Ich twarze
Ich ruchy
Ich gesty
Ich gorące oddechy
Giną w bezszelestnym marszu
Ku tajemnym znakom zagubionym gdzieś
W gąszczu startych już epok
Ku skrzydlatym drzewom
W których zaplątały się gwiazdy
Tak bardzo gniewne w swoim spadaniu
Ku nieznanym czasom przychodzącym
W oparach „żywej krwi" płynące
Przez wszystkie kanały ziemskie

Odchodzą tak bardzo bliscy
I tak bardzo dalecy
Zostaje zasłuchanie w bezszeleście
Marszu

Ale ty oczekujesz
Na tego jedynego który powróci
Z głębi twojego widzenia
Czekasz na jego oddech
Na jego gesty
Na jego spojrzenie w którym ziarno
Trwania
Na jego ziemską twarz

Ty go oczekujesz
Jak „wyzwolenie od martwej
Samotności"

ŚPIEW PTAKA

Poprzez szum ziemi
Poprzez chaos naszego wieku
Poprzez krzywiznę i niepewności dnia
Poprzez wołanie udręczonego człowieka
Usłyszałem
Śpiew ptaka

Śpiew nagły
Jak krzyk uwięziony w gardle
Jak dźwięki organów
W zagubionym mieście
Jak trwanie w obszarze złudzeń
Jak wyzwolenie z obcej wyobraźni

I tak przeminął czas
Otwarty dla herosów bogów i ludzi

A ja wciąż noszę w sobie tamten śpiew
Który krąży we mnie
Sokami
Pulsującej ziemi

Zostałem ocalony

O TEJ GODZINIE

Widziałem świt
Zakwitły na tarczy
Z brązu
Wtedy niebo płonęło
Nadzieją

I dymiące południe
Ukryte w mrokliwej studni
Wtedy
Umęczona ziemia
Odychała niepokojem

Potem nastał zmierzch —
To była już cisza
Która zeszła z drzew
W samo dno
Zamyślonego stawu —
O tej godzinie
Człowiek
Okaleczony zgiełkliwością
Dnia
Powracał w pył
Czasu
Któremu zawierzył

I tak przeminął dzień
W nadziei
W niepokoju
W zuchwalstwie
W pokorze

A teraz mieszkam w domku
Skleconym
Z mitów symboli i alegorii
A także z przenośni

Jak długo pozwolą mi
Tutaj przebywać

TEATR

BYŁA, JEST I BĘDZIE ELEKTRĄ...

„Elektra będzie Elektrą nawet wtedy, gdy jej samej nie będzie wśród żywych" — mówi bohaterka sztuki **Laszlo Gyurko „Elektra — moja miłość"**. I nie tylko o pamięć w niej chodzi w tak sformułowanym przekonaniu, nie tylko o miejsce wśród bohaterów, ale o wieczną aktualność jednego z najważniejszych problemów człowieka, jakim jest walka o prawdę, przeciwko kłamstwu, tchórzostwu i lękowi. Elektra to wieczna konfrontacja postaw tak złożonych, jak złożona jest natura człowieka. Na tej różnicy postaw, na ich wzajemnym ścieraniu się w wiecznym i dzisiejszym świecie, skupia autor swoją uwagę. Zwrócił ją także na rolę jednostki w życiu i kształtowaniu oblicza całego społeczeństwa, w jakim przychodzi jej żyć i na nas samych.

Elektra z węgierskiej sztuki walczy z tyranem, zabójcą swego ojca. Walka toczy się na śmierć i życie. Ręką swego brata odbiera życie człowiekowi, który pozbawił życia jej ojca. Najważniejsze i nowe jest jednak to, że czyn jej nie jest celem, jest środkiem do celu znacznie ważniejszego, do położenia kresu tchórzostwu społeczeństwa, jest równie drastycznym, jak jego pierwotna przyczyna, sposobem walki o prawdę. Elektra traktuje zatem samowolnie wykonany wyrok na mordercy swego ojca właściwie instrumentalnie. Powolną jej ręką brata-kochanka zabija zbrodniarza, a dokonawszy tego czynu, pragnie mścić się w ten sam sposób za otaczające ją wieloletnie milczenie, za słabość, za tchórzostwo, za lęk zrodzony z wielu przyczyn.

I tu właśnie autor stawia przed nami trudne do rozwiązania pytanie: jak oddzielić zasłużoną karę od zemsty, czy zbrodnię można karać zbrodnią, czy jest jeden choćby cel, który uświęciłby środki aż tak drastyczne.. .Czy zbrodnia ukarana zbrodnią nie pociągnie za sobą nowej fali czynów równie niegodnych, czy sprawiedliwego sędziego nie zmieni w tyrana, równie jak jego poprzednik pastwiącego się nad słabszymi?

Choć ani Ajschylos ani Sofokles (Ajschylos w „Orestei" a Sofokles w „Elektrze"), nie odpowiedzieli na to pytanie, to przecież racje Elektry były w ich sztukach bardziej jednoznaczne. Ale też nie mieli ci twórcy doświadczeń, przez jakie przeszedł człowiek od czasu premier ich sztuk. Zbrodnie trzeba karać, kłamstwo wypleniać, a prawdzie torować jak najszerszą drogę i uwalniać ją z każdych okowów, ona bowiem jest najważniejsza. Czy jednak ukarawszy śmiercią tyrana, takim samym wyrokiem karać jego wczorajszych pochlebców (co jest metodą zawsze skuteczną, ale nie zawsze godną), czy dla oczyszczenia drogi prawdzie używać metod szlachetniejszych, o większym, bo rozłożonym w czasie działaniu dydaktycznym?

Laszlo Gyurko stawia te pytania w sposób świadczący o pełnej świadomości konstrukcji ludzkiej psychiki i człowieczej kondycji. Nie daje nam żadnej gotowej odpowiedzi. Wyważa te racje starannie, byśmy nie zasugerowali się jednym tylko rozwiązaniem.

Podobnie uczynił także reżyser przedstawienia, **Jacek Andrucki.** W zaproponowanym przez niego kształcie widowiska tylko pierwsza zbrodnia jest oczywista — jest zbrodnią człowieka na człowieku i tyrana na społeczeństwie Wszystkie inne działania pozostałych postaci są sugestywnie uzasadniane i odmiennie motywowane. Żaden zaś z motywów nie wydaje się błahy i w jakimś ostatecznym rachunku musiałby być brany pod uwagę. Niezwykle sugestywnie przedstawiają swe racje poszczególne postacie. Chryzotemis godzi się na haniebny kompromis i upokorzenie, broniąc swoich dzieci i dosłownie rozumianej urody życia. Elektra walczy o prawdę, gotowa zapłacić za nią własnym życiem, które przecież i dla niej nabrało uroku, gdy wkroczyła weń miłość. Orestes czuje się zobowiązany do wykonania wyroku, ale przeraża go wizja krwi przelewanej za prawdę, którą, jego zdaniem, nie sztyletem należy wprowadzać na oczyszczone ze zbrodniczego tyrana pole.

Interesujących odtwórców znalazły te postacie na **Małej Scenie Teatru im. Jaracza.** Bohaterką przedstawienia jest **Małgorzata Rogacka-Wiśniewska,** która w roli Elektry prezentuje niezwykłe bobactwo swego ogromnie już dojrzałego warsztatu aktorskiego. Jest w niej ból i rozpacz, zimna chęć zemsty i pełna ciepła czułość dla brata-kochanka. Elektra Małgorzaty Rogackiej-Wiśniewskiej jest przede wszystkim niesłychanie konsekwentna, aż zaślepiona w tej konsekwencji. Jest kobietą niesłychanej odwagi. Jest wielką osobowością. Małgorzata Rogacka-Wiśniewska prezentuje w tej roli złożoną i bogatą osobowość aktorską.

Mariusz Wojciechowski w roli Orestesa przedstawił spory wachlarz umiejętności. Szczególnie celnie podkreślał fakt, iż jego bohater był z początku bardziej uwikłany w sprawę wykonania wyroku na mordercy swego ojca, niż naprawdę do tego rozwiązania przekonany. Precyzyjnie i ze świadomością ich skuteczności dobranymi środkami aktorskimi, pokazał dokonującą się w Orestesie, bardziej pod wpływem miłości niż rodowych racji, metamorfozę polegającą na stopniowym przechodzeniu od postawy mściciela, przez zakochanego i w imię miłości zdolnego wszystko uczynić chłopaka, aż do dokonującego bolesnego rachunku własnych przekonań, możliwości i czynów dojrzałego mężczyzny, który uświadamia sobie złożoną, bo tyleż budującą, co i mogącą wszystko zniszczyć, siłę miłości.

Z nieporównanie mniejszym zadaniem zmierzyła się **Bogusława Pawelec** w roli Chryzotemis. Rola ta byłaby bardziej przekonywająca, gdyby nie nazbyt wczesna u tak młodej aktorki maniera i egzaltacja. Egist w interpretacji **Stanisława Jaroszyńskiego,** to nie tylko morderca i grabieżca tronu poprzedniego króla: to także inteligenty, choć okrutny władca, nawet dowcipny i cyniczny, błyskotliwy. Ale przede wszystkim jest świadomy słabości charakterologicznych swych poddanych i dobrze wie, że słabość tą, którą i on sam w gruncie rzeczy gardzi szczerze i głęboko, jest jedyną gwarancją jego potęgi i szansą jego istnienia. Jest wspaniale i najpełniej jak tylko można to sobie wyobrazić — bezkarny; to poczucie bezkarności rośnie w nim z godziny na godzinę.

Wiarygodna postać stworzyła w roli Klitajmestry **Maria Kozierska.**

Spektakl otrzymał interesującą oprawę scenograficzną, która jest dziełem **Małgorzaty Treutler** i ciekawą muzykę **Piotra Hertla.** Ruch sceniczny opracowała **Janina Niesobska.**

EWA PANKIEWICZ

PROZA

„SZARA MYSZKA" I HISTORIA

Ziemia kielecka to region szczególny, to liche gleby, duże kompleksy leśne, góry, ale to także ziemia pracujących ciężej, niż w innych regionach chłopów, robotników i jakże pięknie zapisanej w historii kraju inteligencji. Nie zapominajmy, że jest to także ziemia bohaterów powstań, walk wyzwoleńczych, partyzantki, to terytorium szczególnie zaciętych walk obronnych. Ziemia ta zrodziła też wielu wybitnych artystów i ludzi kultury. Myślę, że najpełniejszym wyrazicielem życia, historii i stylu pracy ludzi stąd — jest niedoścignięty Stefan Żeromski. Niezaprzeczalny jest fakt, iż pod wpływem tego pisarza, kształtowali swą świadomość jego następcy, dając wyraz nie tylko urodzie tej ziemi, ale i mentalności ukształtowanych tu ludzi, ich ofiarności, aż do samozatracenia dla spraw Polski, dla ludu.

Taką postacią ukształtowaną zarówno w duchu tradycji bohaterów książek Stefana Żeromskiego, jak i autentycznych ludzi wywodzących się z tego regionu jest „Szara Myszka". Miano to nosi Agata, kobieta z ludu, chłopska córka, która w ciężkich warunkach międzywojnia awansowała i została nauczycielką. Ale nie jest to zwyczajna nauczycielka po studiach — Agata przeszła szkołę działalności społecznej w ruchu ludowym, „Wiaciach", wreszcie w partyzantce i konspiracji. Życie nie głaskało jej — wojna zabrała męża. Została sama z małym synkiem i przygarniętą żydowską dziewczynką, która trzeba było nie tylko zaopiekować się, ale i ukrywać przed rasizmem hitlerowskich siepaczy.

Książkę trudno jednoznacznie zaklasyfikować, bo jest to jednocześnie pamiętnik i opowieść nie pozbawiona zalet dobrej beletrystyki, mamy partie dokumentalne, które można by potwierdzić wertując dokumenty czasu, a jednocześnie liryczną prozę refleksyjną, w której z prostotą pokazano ludzkie sprawy uczuciowe i obyczajowe, dobro i zło, które przyniosła wojna i nie tylko wojna.

Bohaterkę książki poznaliśmy w dwu poprzednich książkach, „Walkowej pani" i „Przystanku Agaty". Autorka „Szarej Myszki" kontynuuje opowieść o jej losach, posługując się przebogatym doświadczeniem autobiograficznym Ona brała udział w opisywanych przez siebie wydarzeniach. I stąd walor autentyzmu będący dużą zaletą tej książki Dzięki temu poznajemy, zapoznane po latach losy ludzi biorących udział w odbudowie życia w Polsce powojennej. Agata rozpoczyna pracę tuż po wyzwoleniu, po przetoczeniu się frontów przez tę ziemię. A trzeba pamiętać o tym, że choć armie poszły na zachód — walka się nie skończyła. Na przeszkodzie ludziom biorącym się do odbudowy stanęły oddziały przeciwników politycznych. Trup zalegał gęsto, trwała walka z prawicową opozycją, jawna, zaś zadania piętrzyły się z dnia na dzień. „Szara Myszka", czyli Agata, jest wzorem energii. Ona nie może po wojnie wrócić do pracy w szkole, powierzają jej poważniejsze zadania w warunkach, kiedy nad głowami świszczą kule, gdy chłopi boją się brać ziemię z reformy, gdy trzeba pomagać ludziom żyjącym w skrajnej nędzy i starać się zapobiegać nadużyciom. A nie zapominajmy, że takie elementy jak powszechna nieufność, wręcz podejrzliwość — nie ułatwiały Agacie pracy, często była ona posądzana o czyny, które mogłyby zawieść ją do więzienia — przeciwnik bywał podstępny zaś władza dawała posłuch nawet podszeptom.

Inny rys wyróżniający tę książkę, to umiejętność pokazania obyczajowości tamtych czasów. Agata znajdowała się w opałach nie tylko w miejscach pracy, gdzie ją oplotkowywano, czy wręcz szkalowano, lecz musiała przezwyciężać także opory rodziny, głównie matki, która przykładała stare miary do oceny sytuacji, w jakiej znalazła się jej córka.

Można by zgłosić jedno zastrzeżenie, chodzi mianowicie o postawę Agaty w walce o sprawy ojczyzny i o własne dobre imię — działaczki lewicy społecznej, odbudowującej życie społeczne i oświatę ludową. Czemu nie potrafiła ona zbuntować się przeciw swojej władzy, gdy ta popełniała błędy polityczne i czemu pozwoliła tak łatwo wprowadzać się w krąg osób podejrzanych o wrogą działalność?

Wróćmy jednak do fabuły książki. Myślę, że elementem godnym wyeksponowania jest migracja na zachód Przypomnijmy, że wsie kieleckie mimo zniszczeń wojennych były zawsze przeludnione. A i z miast najbardziej dynamiczny element wędrował szukać na odzyskanych terytoriach Polski — pracy i mieszkań, możliwości zrealizowania swych życiowych ambicji. I w tym właśnie dzielnie uczestniczyła Agata, Agnieszka Barłóg unika jednak większych opisów zniszczeń wojennych Szczecina, czy wsi pomorskich i koszalińskiego. Będąc wierna powołaniu swej bohaterki pokazuje ją także jako organizatorkę oświaty ludowej. I należy to policzyć w sukcesy autorki, gdyż wybrała oryginalny temat, ale właśnie poprzez tę działalność swej bohaterki potrafiła opisać całą dynamikę rozwoju życia na tych ziemiach.

Autorka kończy swą opowieść w punkcie, w którym do głosu dochodzą nowe pokolenia Ona oddaliła od zapomnienia dorobek ludzi, którzy stawali pierwsi ofiarnie do odbudowy i nadawania nowego kształtu zniszczonemu krajowi.

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Agnieszka Barłóg: „Szara Myszka", Łódź 1980. Wydawnictwo Łódzkie cena 25 zł. Opracowanie literackie: Tadeusz Papier.

PLASTYKA

REALIZM SPOŁECZNY POP—ARTU

Prezentowana wystawa ukazuje podstawowe motywy tematyczne, repertuar środków wyrazu oraz aspiracji społecznych ruchu artystycznego określanego najczęściej jako pop-art, a nazywanego także neo-dadaizmem, realizmem społecznym, nowym realizmem etc.

Powstanie tego kierunku, który traktować można jako następstwo dokonań artystycznych dadaizmu, a nade wszystko wystąpień Marcela Duchamp w pierwszej ćwierci naszego stulecia, wywodzi się z rozważań teoretycznych i praktyki artystycznej angielskich i amerykańskich środowisk twórczych lat 50.

W latach 60 zjawiska typowe dla omawianego nurtu artystycznego stały się powszechne także w sztuce innych krajów, głównie zachodnioeuropejskich oraz w specyficznej formie w sztuce japońskiej, a także w mniejszym stopniu i w zredukowanej formie w innych kręgach kulturowych.

W widzeniu pop-artu stosuje się w latach 70 podział tej tendencji na dwie fazy, wyróżniane zależnie od wyrażanego w poszczególnych realizacjach plastycznych stosunku ich twórców do otoczenia. Pamiętać należy, że kierunek ten uznać trzeba za bezpośredni wynik XX-wiecznej cywilizacji technicznej i kultury masowej oraz procesów socjalnych typowych dla masowych społeczeństw świata współczesnego. Tak więc dwoisty stosunek do otoczenia, przejawiający się w sztuce pop oraz w postawach jej twórców, wyraża się bądź w bezpośrednim włączaniu w obszar sztuki obiektu z otaczającego świata lub obrazu tego obiektu do ikonografii omawianego nurtu, bądź w skupianiu się artysty na problemie wyobrażenia, reprodukcji, wynikającym z zalewu współczesnych społeczeństw, przekazami informacji o masowym obiegu i globalnym zasięgu.

W przypadku postępowania twórców w sposób wymieniony na pierwszym miejscu, zalicza się ich realizacje do fazy pop-art I (lub proto pop-art) natomiast w przypadku drugim do fazy pop-art II określanej jako właściwa faza kierunku.

Wobec zajmowania się artystów czy to otoczeniem człowieka zdominowanym przez wytwory produkcji mechanicznej i przedstawianiem wyglądu współczesnej cywilizacji przemysłowej czy też wobec skupiania się ich na problemie wyobrażenia i współczesnej ikonosfery, silnie określonych przez wytwory kultury masowej, mówić możemy o społecznym charakterze tej sztuki, o zainteresowaniach jej twórców bądź presją rzeczy, której podlegają tematycznych i języka plastycznego pop-artu — prace wykonane w technikach malarskich, graficznych oraz realizacje przestrzenne — wszystkie pochodzące ze zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi.

Zaprezentowane zostaną prace artystów angielskich wywodzących się z ruchu rodzenia się pop-artu w Londynie, uczestniczących w ważnej dla rozwoju właściwej fazy kierunku Young Contemporaries Exhibition i związanych z Royal College of Art takich jak: Derek Boshier, Ron B. Kitaj, Michael Davidson, Norman Toynton. Do tej samej grupy w ekspozycji należą inne prace pop-artystów angielskich z początku lat 60 Joe Tilsona czy Patricka Caulfielda. Rozwijanie analizy problemu wyobrażenia plastycznego opartego na mechanicznym zapisie rzeczywistości, obserwujemy w realizacjach Michaela Rothensteina, w datujących się na lata 70 pracach graficznych Derka Bodany zostaje człowiek, bądź presją znaków, języka (szczególnie wizualnego), w którego oddziaływanie zostaje uwikłany. W obu przypadkach charakter społecznych zainteresowań twórców sztuki pop jest bezsporny.

Na wystawie eksponowane są realizacje artystyczne mieszczące się w granicach zainteshier, w pracach Allena Jacqueta czy Fernanda de Filippi.

Specyficzne traktowanie środków wyrazu wypracowanych przez sztukę pop obserwujemy w realizacjach o nadanej im funkcji przekazu treści politycznych, takich jak dzieła graficzne Lorenzo Homara, Antonia Miro, Dacosa czy w powstałych we Francji pracach Romana Cieślewicza.

Inną jeszcze grupę dzieł eksponowanych na wystawie stanowią realizacje artystów polskich, powstałe w odmiennym kontekście cywilizacyjnym i w kręgu poddanym presjom innego typu niż miało to miejsce w krajach, z których wywodził się pop-art. Charakterystyczne dla tego punktu obrazowanie, a także niektóre tylko tematy z domeny jego zainteresowań pojawiają się w pracach Ewy Kuryluk, Jana Dobkowskiego i Ryszarda Zielińskiego. Artyści ci podejmują motywy depersonalizacji człowieka w statystycznie traktowanych społeczeństwach, motywy seksu i natury przekazywane w sposób skrótowy, jednowymiarowy, plakatowy można by rzec.

Być może wystawa, wykraczająca poza tradycyjne spojrzenie na pop-art i włączając weń szeroki krąg twórców, realizujących różnorodne postawy twórcze, umożliwi dostrzeżenie wspólnych dla nich aspiracji.

JEROMIR JEDLIŃSKI

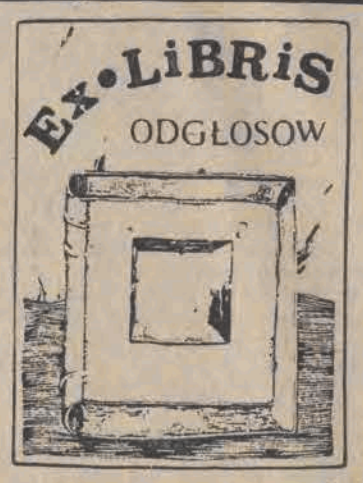

BERINGER I NIEUSTAJĄCY GNIEW

Gerd Fuchs, autor książki „Beringer i nieustający gniew", należy do średniego pokolenia pisarzy RFN Z wykształcenia germanista i anglista, przygotowany był do zawodu nauczycielskiego. Książka, o której mowa, jest debiutem książkowym Fuchsa. Wcześniej opublikował zbiór opowiadań, na co dzień jest dziennikarzem: zajmuje się felietonem. „Beringer i nieustający gniew" jest ilustracją dnia codziennego Republiki Federalnej Niemiec w początkach lat sześćdziesiątych. Bohaterem jest młody dziennikarz. Próbuje on znaleźć w swojej ojczyźnie miejsce dla siebie. Pamięta jeszcze wydarzenia z dzieciństwa i wczesnej młodości — lata wojny i tuż po wojnie. Konfrontuje te wspomnienia ze współczesnością i dochodzi do wniosku, że nic się właściwie nie zmieniło, mimo przegranej wojny, klęski wojsk hitlerowskich, mimo wstrząsu, jaki ta klęska wywołała i zmian układów politycznych w świecie. Społeczeństwo w dalszym ciągu rozumuje tymi samymi kategoriami. Właściwie nie wyciągnęło żadnych wniosków z minionego czasu, a rozrachunek z przeszłością sprowadza się jedynie do zapomnienia o tym, co w tej przeszłości niemiłe. Najważniejszy dla ludzi jest porządek, ustabilizowane życie i wspinanie się po kolejnych szczeblach do coraz większego dobrobytu Beringer pojmuje, że aby przezwyciężyć przeszłość nie wolno o niej zapominać, lecz trzeba zrozumieć przyczyny, jakie ją wywołały, i postępować tak, by historia niemogła się powtórzyć. Czuje się niejako oszukany przez społeczeństwo. Jego gniew każe mu się zbliżyć do ludzi czującychpodobnie jak on. Nawiązuje więc kontakt z ruchem studenckim i robotniczym, interesuje się kwestiami społecznymi. Tak zaczyna Beringer poszukiwania dróg wiodących do zmiany istniejącego stan u rzeczy Czy osiągnie to, co zamierzał, czy zdoła wyrwać się z tego zaklętego kręgu stabilizacji, przyzwyczajenia, „świętego spokoju", dobrobytu i zapomnienia?

Gerd Fuchs, „Beringer i nieustający gniew", przekład Barbara Tarnas, PIW, W-wa 1980, str. 219, cena zł 55.

GODZINA PRAWDZIWYCH ODCZUĆ

Oba prezentowane w tym tomiku opowiadania: „Godzina prawdziwych odczuć" i „Leworęczna kobieta" przypominają czytelnikom znane motywy z wcześniejszych utworów Handkego: wyobcowanie jednostki w dzisiejszej cywilizacji, pozrywane więzi i bariery psychiczne udaremniające porozumienie, skłócenie z życiem i samym sobą. Jednakże bunt przeciw stereotypom słów, zacnowań i układów, chęć odzyskania utraconej autentyczności przeżyć — to nie powtórzenia, lecz kontynuacja problematyki nurtującej pisarza w wielu utwarach pisanych wcześniej.

Bohaterem „Godziny prawdziwych odczuć" jest referent prasowy ambasady austriackiej w Paryżu, któremu na pozór nie brak podstaw do satysfakcji życiowej, zadowolenia, a nawet szczęścia I oto nagle, pod wpływem koszmarnego snu, bohater zaczyna czuć się kimś innym, odmienionym, całe dotychczasowe życie wywołuje w nim niechęć, a otoczenie, im bliższe, tym bardziej wydaje mu się obce.

Marianna z „Leworęcznej kobiety" jest również takim zagubionym człowiekiem, kobietą żyjącą w dobrze zorganizowanym świecie pozorów i pozornych sukcesów. Jej natura buntuje się nagle przeciwko ciśnieniu stereotypów zachowań, myśli i działań. Bohaterka jest w rozpaczy, próbuje wyrwać się z krępujących ją więzów.

Opowiadanie to posłużyło Handkemu za scenariusz do filmu w jego własnej reżyserii Film ten wyświetlany był na naszych ekranach dwa lata temu.

Peter Handke, „Godzina prawdziwych odczuć", przekład — Sławomir Błaut, Czytelnik, W-wa 1980, str. 292, cena zł 32.

CHOUCAS

Niedawno ukazała się kolejna pozycja Dzieł Zofii Nałkowskiej. Jest to przepiękna powieść „Choucas" napisana w 1925 roku po powrocie autorki ze Szwajcarii Wprowadza ona czytelnika, co jest typowe u Nałkowskiej, w niedużą hermetycznie zamkniętą społeczność ludzką. Niewielka grupa chorych cały czas skupiona jest wokół spraw i problemów własnej choroby własnego sanatorium Świat na zewnątrz istnieje tylko po to, żeby można było chodzić na spacery, ludzie poza mieszkańcami pensjonatu jakby nie istnieli. W tym zamkniętym kręgu autorka szczególną uwagę obdarza kobiety. Jest ich kilka, młodszych i starszych, interesujących i mniej ciekawych. Każdej z nich Nałkowska poświęca jednakowo wiele uwagi, odkrywa całą bogatą gamę przeżyć, doznań, radości i smutków, a także dramatów duszy kobiecej.

Powieść jak już wspomniałam wcześniej, napisana została w 1925 roku. Nałkowska pisała ją w odcinkach do „Tygodnika Ilustrowanego" metodą z tygodnia na tydzień. W wydaniu książkowym ukazała się już w 1926 roku. Obydwie te wersje z „Tygodnika Ilustrowanego" i książkowa są identyczne Dopiero wydanie następne z 1937 roku zostało przez autorkę znacznie zmienione Niniejsze wydanie oparte jest na pierwotnej wersji z 1926 roku, zmodernizowano jedynie interpunkcję według dziś obowiązujących przepisów i norm, zachowując jednocześnie charakterystyczną manierę ówczesną polegającą na stosowaniu nadmiernej ilość pauz.

Zofia Nałkowska, „Choucas", Czytelnik, W-wa 1980, str. 148, cena zł 32.

LEWYM OKIEM

JEDNO TYLKO?

„Express Ilustrowany" z 2 lutego br., poddał pod dyskusję — w artykuliku pt. „Bez szkody dla zdrowia pacjentów" — sprawę zaopatrzenia rynku w leki. Znajdujemy tam m. in. takie zdanie: „Jedno tylko nie podlega dyskusji. W aptekach i szpitalach nie może brakować leków, ratujących życie, oraz środków opatrunkowych".

To byłoby bardzo słuszne zdanie, gdyby nie zaczynało się takim wyłączającym zwrotem: „jedno tylko". Jest o wiele więcej spraw, nie tylko ta jedna, które nie powinny podlegać dyskusji żadnej, w żadnej sytuacji. Dla przykładu tenże „Express" uważa, że rutinoscorbin jako lek przeciwmiażdżycowy „bez którego w gruncie rzeczy można się obyć", jest właśnie tym, o czym można dyskutować.

Ale przecież „w gruncie rzeczy" to się można obyć bez wszystkiego. Przez wiele tysięcy lat ludzie żyli nie mając pojęcia o żadnym leku dzisiejszym i obchodzili się bez niego. Jeszcze sto lat temu nie było żadnego przemysłu farmaceutycznego, a parę wieków wcześniej — ani jednej apteki. I można się było obyć.

Bez leków ratujących życie też można się obyć, po prostu umierając. Ale chyba lepiej jest nie być skazanym na lek ratujący życie, nie dopuszczając do stanu ostatecznego zagrożenia czyli zażywając inne leki, na przykład rutinoscorbin.

A jeszcze są leki ratujące — powiedzmy — wzrok. Są, tylko ich nie ma. Czy mamy dyskutować zasadność ich natychmiastowego sprowadzenia, czy ktoś tu ma wątpliwości, jako że chodzi tylko" o wzrok, a nie o życie? Zresztą nie chcę słuchać żadnych lekkomyślnych dywagacji, dla mnie jedna sprawa (ale nie tylko jedna!) nie podlega dyskusji: sprawa leków. Wszystkich leków. Wszystkie ratują życie, a najlepiej ratują te, które się zażywa latami, systematycznie, a nie po dowiezieniu do szpitala karetką na sygnale. Nie próbujmy nikomu wmawiać, że zioła zbierane za stodołą, kłucie szpilkami, zimna woda i spacer wystarczą za wszystko inne. Wszystkie leki muszą się zawsze znajdować na rynku.

Co oczywiście nie znaczy, że nie dostrzegam groźnej manii nadużywania lekarstw zarówno przez pacjentów, jak i przez lekarzy. Może i tu działa panika, wynikająca z ciągłych braków, może to dlatego biorą ludzie wszystko, ile się da, bo jutro nie będzie, a może dlatego, że leki daje się rencistom bezpłatnie. Myślę, że po uporządkowaniu rent i uwzględnieniu w nich prawdziwych kosztów utrzymania nie byłoby złe przywrócenie jakiejś odpłatności za leki. Może to lepsze, niż żądanie, żeby starzy ludzie odnosili nie wykorzystane a otrzymane za darmo leki i oddawali je bezpłatnie w wyznaczonych punktach. Zbytnio to wyidealizowane. Nie odnoszę makulatury i butelek, chociaż mi za to parę groszy płacą, bo za daleko, bo za ciężko, bo punkt skupu otwiera się i zamyka kiedy chce. Tak samo będzie ze zwrotem leków. Chyba żeby to był normalny odkup, po normalnej cenie.

A teraz pozwólcie na dłuższy cytat w sprawie zasadniczej.

„Czy przedsięwzięcia publiczne nikczemnie wyzyskiwane przez spekulantów; czy niezliczone oszustwa w dostawach i gospodarkach majątków rządowych; czy walące się gmachy publiczne, w których utonęły miliony złotych — czy cała ta masa występków przesunie się przez nasze życie jako szereg klęsk przygodnych, dających się szybko naprawić, jak spustoszenia dokonane przez pomór, grad lub szarańczę? Czy zgniliznę dusz, stępienie wrażliwości moralnej, uprawnienie bezprawia, krótki czas uleczy radykalnie? Nie łudźmy się. Za lat pięćdziesiąt a może nawet sto potomkowie nasi będą jeszcze odczuwali skutki tegoczesnej choroby narodu wycieńczonego fizycznie i zarażonego moralnie, który ma już mało organów zdrowych i sprawnych."

„Oswoiliśmy się z pospolitością wypadków i doniesień, że ktoś okradł fundusz publiczny i został zawieszony w urzędzie, zamiast na szubienicy, że ktoś drugi chociaż oskarżony siedzi jeszcze w swym biurze, zamiast w więzieniu, że ktoś trzeci, chociaż podniósł się przeciw niemu krzyk oburzenia, nie jest ani zawieszony, ani oskarżony, ani zagrożony odpowiedzialnością..."

Prawda, że to wszystko brzmi bardzo a bardzo aktualnie? Otóż słowa te napisał Aleksander Świętochowski w felietonie „Liberum veto", w „Myśli Narodowej" z 4 sierpnia 1929 roku. Ponad pół wieku temu.

„Za lat pięćdziesiąt a może nawet sto potomkowie nasi..."

ĆWIEK

KTO MI TO WYTŁUMACZY?

Kto mi wytłumaczy, dlaczego port lotniczy Okęcie w Warszawie jest pechowy dla piłkarzy? Ostatnio ekipa piłkarska krakowskiej Wisły odleciała do Belgradu zmniejszona o dwóch zawodników: Zbigniewa Płaszewskiego i Kazimierza Gazdę. Obu tych zawodników kierownik lotu do Belgradu nie zgodził się wpuścić na pokład samolotu, jako że nadużyli alkoholu. Co zresztą potwierdzają świadkowie. Nikt nie protestował, a kilku piłkarzy grzecznie prosiło, aby koledzy mogli jednak polecieć na obóz do Jugosławii. Ktoś się wprawdzie odgrażał, ale większej sensacji z tego nie zrobiono. Prezydium Zarządu Sekcji Piłki Nożnej GTS Wisła zawiesiło w prawach zawodników obu piłkarzy, którzy po wytrzeźwieniu wrócili do Krakowa.

Piłkarzom można tylko doradzić, aby za granicę jeździli pociągami, chociaż z dalekiej przeszłości pamiętam, że i w pociągach zdarzały się skandale. Może w ogóle nie jeździć za granicę?

Kto mi następnie wytłumaczy, dlaczego Komisja Dyscypliny i Zmiany Barw Klubowych GKKFiS dokonała tak niewielkich korekt w wymiarze kar nałożonych na Stanisława Terleckiego, Zbigniewa Bońka i Władysława Żmudę? Komisja GKKFiS usiłuje nam to wyjaśnić w publikowanym w gazetach uzasadnieniu, stwierdzając, że piłkarze „zachowali się niewłaściwie, niezgodnie z zasadami obowiązującymi reprezentantów kraju". Jakie są te zasady — nie wiem. Mam jednak nadzieję, że komisja GKKFiS wie. Z jej uzasadnienia wynika niezbicie, że w zasadach tych nie mieści się „fałszywie pojęta solidarność". Ciekawa teraz jestem, jakie kary wymyśli dla piłkarzy GTS Wisła Komisja Dyscypliny i Zmiany Barw Klubowych GKKFiS?

Kto mi następnie wytłumaczy, jaka sprawiedliwość obowiązuje w sporcie? Oto bowiem piłkarze ponieśli surowe kary za „pyskówkę". Wniosek stąd prosty: milczeć, słuchać zwierzchności i kopać. Luksus posiadania własnego zdania pozostawić innym. I bardzo dobrze, bo od nadmiaru dyskusji kopanie wychodzi piłkarzom coraz gorzej. Nie mogę jednak pojąć, dlaczego ta zasada obowiązuje tylko niektórych piłkarzy, a na przykład nie obowiązuje... narciarzy. Ot, choćby takiego Józefa Łuszczka, który 25 sierpnia 1980 roku rozbił „Volkswagena Sirocco", a pasażerkę naraził na złamanie obojczyka. Za co zresztą został skazany przez Sąd Rejonowy w Wałczu na rok pozbawienia wolności z zawieszeniem na dwa lata. Wyrok jest jeszcze nieprawomocny. Wyroki są sprawą sądów. Mnie w tej dziwnej sprawie interesuje coś innego.

Sąd nie ustalił, ile koniaku wypił narciarz Józef Łuszczek. Wiadomo jednak, że to, co pił, to był koniak. Świadkowie podawali różne ilości. Minimum było 50 gramów. Działo się to wszystko pod koniec sierpnia 1980 roku w okolicy Wałcza, niedaleko Gdańska, Szczecina, Elbląga. Stał zresztą wtedy niemal cały kraj i ludzie z napięciem wsłuchiwali się w komunikaty radiowe. Każdy człowiek ma prawo w takich chwilach robić, co mu się podoba. Nie mam więc prawa osądzać Józefa Łuszczka. Ale mogę się dziwić.

Dziwię się więc, dlaczego żadna komisja GKKFiS nie podjęła żadnej decyzji w sprawie zakazu startów dla narciarza Józefa Łuszczka, który po wypiciu minimum 50 gramów koniaku spowodował wypadek drogowy, narażając jedną z pasażerek na złamanie obojczyka i urazy głowy. Nie mogę pojąć, dlaczego sportowa sprawiedliwość karze jednych za spontaniczne wyrażanie własnego zdania, czyli za „fałszywie pojętą solidarność", co jakoby nie interpretować jest karą za przekonania, a ta sama sportowa sprawiedliwość przechodzi obojętnie wobec sportowców z innej dyscypliny, którzy w sposób ewidentny łamią obowiązujące w kraju normy prawne. Niech mi ktoś to wreszcie wytłumaczy!

BOGDA MADEJ

PS. Jeśli już spowiadam się z tego, czego nie rozumiem, to chciałabym, aby redaktorzy „Naszych Argumentów", dodatku ukazującego się na łamach „Głosu Włókniarskiego", pisma załogi ZPB im. J. Marchlewskiego wytłumaczyli mi, dlaczego mój felieton „Kara i wina" z 2 numeru „Odgłosów" (11 stycznia 1981 roku) ukazał się w „Naszych Argumentach" pod tytułem „Wina i kara" bez mojego podpisu i bez podania źródła, z którego został przedrukowany. Liczę na to, że zostanę przeproszona oraz że otrzymam należne mi z tytułu prawa autorskiego honorarium.

B. M.

TELEWIZJA

CZY SKRACAĆ PROGRAM TELEWIZYJNY?

Z takim pytaniem, w sobotnim „Studiu 2" zwrócił się do dwojga ekspertów Eugeniusz Pach (na marginesie: eksperci obecnie mnożą się w zastraszającym postępie. Coraz częściej rozstrzyganie o czymkolwiek nie może się obejść bez udziału kilku ekspertów. Świadczy to z jednej strony o upadku autorytetu tych, którym dotąd eksperci nie byli potrzebni. Z drugiej natomiast — i w tym upatruję niebezpieczeństwo — eksperci spełniają rolę parawanu ukrywającego braki w myśleniu i podejmowaniu decyzji). Wróćmy jednak do pytania. Otóż wydawałoby się, że ma ono całkiem racjonalne przesłanki. Bo, po pierwsze, zadając to pytanie, wychodzi się z założenia o szkodliwym oddziaływaniu telewizji na rozwój intelektualny i kulturalny człowieka. Zatem skracając program, czy nawet wprowadzając „dzień bez telewizji", proponuje się swoistą dezynfekcję umysłów paru milionów widzów. Odebrany telewizji czas można byłoby więc poświęcić na inne, bardziej szlachetne, kontakty z kulturą. Bo, po drugie, biorąc pod uwagę braki energetyczne, okrojenie programu, byłoby znaczącym pomysłem oszczędnościowym (porównaj tego typu praktykę w czasie „zimy stulecia"). Te na pozór zdroworozsądkowe argumenty, co potwierdzili także zaproszeni przez redaktora Pacha eksperci, wieksłują cały problem w fałszywym kierunku. Hasło „zgaś zbędną żarówkę, kraj czeka na energię", zatem — „wyłącz telewizor" jest typowym działaniem, którego sens daje się streścić w znanym przysłowiu: „Goni muchę z odrobiną, a pies ucieka z cielęciną". Tak więc zrodzone w społecznym porywie apele do TvP winny znaleźć innego adresata.

Zacząłem od drugiej przesłanki, bo jej ekonomiczny fałsz jest oczywisty. Natomiast pierwsza, ta higieniczno-odkażeniowa, domaga się paru kontr i dopowiedzeń. Pani socjolog — ekspert z audycji „Studia 2" — poinformowała, że badania prowadzone w czasie, gdy skracano program telewizyjny, nie potwierdziły wzmożonego zainteresowania innymi formami uczestnictwa w kulturze. Zatem, gdy nie było telewizji, statystyczny Kowalski szedł po prostu spać. Dobrze wyspany może i następnego dnia lepiej pracował. Ale to już inna sprawa. Jej zbadanie — jak przypuszczam — przerasta możliwości naukowe współczesnej socjologii.

Napisałem „bardziej szlachetne kontakty z kulturą", inne formy uczestnictwa w kulturze", teraz powinienem zadać pytania — jakie? gdzie? oraz kiedy?. Pytania prawie retoryczne, biorąc pod uwagę stan naszej kultury literackiej (o książkę jest stokrotnie trudniej niż o paczkę masła), filmowej (cztery kina na krzyż z repertuarem dużo gorszym niż w tv), i teatralnej, nie wspominając już o zwykłej rozrywce bądź reakcji. Odbierając milionom telewizję, w zamian dajmy cośkolwiek (może i na wysokim poziomie) kilkudziesięciu tysiącom. A co z resztą, która w dalszem ciągu liczyć będzie kilkadziesiąt milionów?

Dalej. Nikt przecież nie będzie udowadniał, że telewizja musi być masowym instrumentem indoktrynacji, programowej perswazji, prostackiej homogenizacji, tandety i taniochy. Nikt, choć trochę zracjonalizowany i obiektywny, nie stwierdzi, że telewizja jest takim instrumentem. Natomiast powie, nie bez racji, iż tv takim instrumentem bywa. Rzecz w tym zatem, aby telewizja nie usiłowała za nas myśleć, za nas rozumieć, aby nas nie udawała, mówiąc w całkiem innym imieniu. Także w tym, aby wykształciła wreszcie formy prawdziwie aktywnego odbioru swoich programów, aby dawała możliwość ich autentycznego wyboru. Przyglądając się naszej tv od wielu lat, od trzech, ze względu na swoje powinności felietonowe szczegółowiej, odnoszę wrażenie, że nie robi się nic, żeby tę inercyjno-bierną postawę telewidowni zmienić. Wprost przeciwnie. Tak zwana „ramówka", rozmaite cykle, stałe „Radary", „Horyzonty", „Obiektywy", „Pryzmaty", „Sondy" (itd., itd.), przy zdawkowej informacji o innych audycjach — „film", „reportaż", pr. woj", pr. jubileuszowy" (itd., itd.) skazują widza na bezsensowe tkwienia przed telewizorem w oczekiwaniu na nie wiadomo co. Rozpisywano się często gęsto o głupiejącym charakterze telewizji kapitalistycznych. Ale tam, na przykład w takiej Francji, oglądający telewizję dysponuje imponującym wachlarzem informacji o programie, poczynając od dzienników, w których jego treść rozpisana jest na kilku szpaltach, a na specjalnych magazynach (i to kilku) kończąc. Informacje owe nie ograniczają się tylko do nazwisk realizatorów, czy treści zapowiadanych audycji. Są także próbą wstępnej kwalifikacji i oceny. Sugerują również wybór określonych programów. Następnego dnia gazety przynoszą recenzje i to nie tylko programów tzw. artystycznych. Podaje się również na bieżąco statystyki oglądalności poszczególnych audycji itd. W sumie telewizji towarzyszy, proporcjonalna do jej zakresu oddziaływania, formuła świadomego sterowania odbiorem i społeczną uwagą. A jest to tylko jeden z przykładów uaktywniania telewidowni. U nas pozostawiony na łasce losu i łaskawości sekretarzy redakcji, którzy z trudem znajdują miejsce dla rubryki „Dziś w Tv". Kto wiedział, że w niedzielę, w programie Blisko i daleko" zobaczy fragment (?) filmu Tomasza Lengrena „Pomnik" o grudniu 1970 r.? Kto mógł zakładać, że w piątkowym „CDN" telewizja pokaże porażający społecznie i znakomity warsztatowo reportaż Jerzego Śladkowskiego o zjawisku narkomanii? Co to znaczy: „Teatr tv — Discjockey"? Dlaczego film („radz. obycz.") „Dziwna kobieta", będzie wyświetlony w cyklu „Kino interesujących filmów"? A inny w „Filmotece Arcydzieł"? Nie myślę tu o tych dwustu tysiącach widzów, dla których nazwiska Michała Anioła, Kurosawy czy Sałtykowa-Szczedrina są znane, ale o kilkunastu milionach (3/4 widowni telewizyjnej to ludzie, których edukacja zakończyła się co najwyżej w szkole zasadniczej), dla których telewizja może być kulturalną szansą. Tym ważniejszą — że jedyną. Tak więc zamiast pytać „czy skracać"? należy zastanawiać się jak rozszerzać program, jak go różnicować i rozwijać. Jeśli — z konieczności — tv ma być (nawet — jest) jedyną szansą dla kultury, niechaj będzie szansą rzeczywistą.

GRZEGORZ GAZDA

P.S. Pisząc w poprzednim felietonie o tzw. „sprawie Wojnowskiego" pomyliłem funkcje. Winno być: I sekretarz KW w Olsztynie, a nie — wojewoda. Przepraszam.

SYTUACJE

OD NOWA SZUM?

Bywa jeszcze, że przychodzi mi wstydzić się przynależności do środowiska dziennikarskiego. Wystarczy parę dni, aby „koledzy", zapominając o niedawnych kubłach pomyj wylewanych na propagandę sukcesu, którą sami najpierw zajadle uprawiali, potem natomiast surowo i krytycznie oceniali — zaczęli od nowa grać w tej samej tonacji... Wystarczyła okazja — nowa inwestytura, i zaczęły się stare zagrywki. Oto mnożą się artykuły o historycznej roli wojska, inne pełne są wojskowych terminów, telewizyjny komentator podziennikowy obnaża się w osobistej wypowiedzi weterana walk; mówi że pracuje nie tylko od poniedziałku do piątku ale w wolne soboty i niedziele — wszystko z wewnętrznej konieczności i poparcia dla osoby i celu. Chciałoby się liczyć, że powstanie następne dzieło o czterech przyjaciełach, psie i prezesie... Może ktoś je doceni!

O powadze chwili mówią wszyscy, a może po prostu wymaga ona chwili powagi i nie rozmieniania na drobne. Trzeba tylko usunąć nadmiar przymiotników, pozostać przy relacjonowaniu faktów i na nich się opierać.

Ludzie pytają o wszystko, chcąc zrozumieć czas, w którym żyją. Każdy komunikat prasowy trzeba tłumaczyć jak gdyby pisano go w obcym języku. Przykład: oto Polska Agencja Prasowa doniosła: „Sąd Najwyższy rozpatrzył odwołanie Komitetu Założycielskiego Niezależnego, Samodzielnego Związku Zawodowego Rolników od postanowienia Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, uznając, że w świetle obowiązującego prawa Sąd Wojewódzki nie mógł dokonać rejestracji tej organizacji, która nie jest związkiem zawodowym w rozumieniu przepisów ustawy o związkach zawodowych i uchwały Rady Państwa określającej tryb rejestracji związków zawodowych. Sąd Najwyższy przekazał tę sprawę do rozpatrzenia właściwemu organowi administracji państwowej, którym jest Urząd Miasta Stołecznego Warszawy.

Jak informuje rzecznik Ministerstwa Sprawiedliwości, wszelkie działania na rzecz tworzenia NSZZ Rolników są nielegalne. (PAP)"

O co chodzi? Zrobiłem prywatną sondę — z kilkunastu osób zaledwie kilka zrozumiało niektóre sformułowania. Spróbujmy przetłumaczyć: Sąd Najwyższy rzeczywiście rozpoznał odwołanie i uchylił zaskarżone postanowienie Sądu Wojewódzkiego. Przekazał natomiast sprawę do rozpoznania Urzędowi Miasta Stołecznego Warszawy ponieważ nie wykluczył możliwości rejestracji związku rolników jako stowarzyszenia o charakterze ogólnopolskim.

Nie chcę dokonywać szczegółowej analizy tekstu komunikatu PAP, ale każdy zwrot jest tam celowy. Służy tworzeniu odpowiedniego nastroju. Pogłębia ten oczekiwany nastrój informacja rzecznika Ministerstwa Sprawiedliwości zawarta poniżej zasadniczego tekstu.

Czy tak trzeba pisać? Mam pretensje do redaktorów depeszowych dzienników, że nie postarali się o parę słów, które tłumaczyłyby zamieszczoną „informację" z „polskiego na nasze". A przecież Polak potrafi...

Cała rzetelność i odkrywczość „Polityki" (nr 7 z 14.2 br.) polega właśnie na tym, że w rubryce: Z Kraju zamieściła nie komunikat PAP lecz jego tłumaczenie. Czy tylko tygodnik redaktora-wicepremiera ma uprawnienia przysięgłego tłumacza?

Inny przykład. Po ponad dwudziestu dniach strajku studentów w Łodzi i przerywanych rokowań minister J. Górski przyjeżdża w przeddzień ustalonego uprzednio przez siebie terminu rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów na końcową turę rokowań. Zapowiedzi wskazują na rychłe podpisanie porozumienia. Niestety finał nie następuje — strajk trwa nadal. Zaczyna się dramatyzowanie, minister występuje w TV, nazajutrz odbywa konferencję prasową usilnie starając się wykazać swą dobrą wolę i nieodpowiedzialność działaczy NZS, którzy nie chcą w ciągu kilkunastu godzin wypowiedzieć się w sprawie proponowanych poprawek w statucie związku, czym warunkowana jest rejestracja.

Nie najważniejsze jest to, że przed kamerami TV nie widzieliśmy przedstawicieli studentów, którzy mogliby wypowiedzieć się w sprawie. Ważny natomiast wydaje się brak dziennikarskiego stwierdzenia faktu, że minister potrzebował na analizę treści projektu statutu ponad miesiąc aby ustalić konieczność zgłoszenia poprawek, zrobił to w ostatniej chwili i.. wyraził zdziwienie, że rokowania się przedłużają. A może od nowa zacząć... od-nowę.

A my w tym informacyjnym szumie postarajmy się przynajmniej o jedno — piszmy tak aby się nie wstydzić.

HENRYK MACIEJEWSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; ul. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045-139 prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 305. K-5.